

STEFAN MOSZCZENSKI
profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

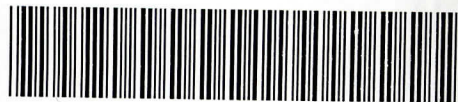
**U PODSTAW
ROZWOJU GOSPODARSTW
WŁOŚCIAŃSKICH W POLSCE**

Osobne odbicie z zesz. Nr. 14, 15,
16, 17 i 18 „Gaz. Roln.” 1928 r.

WARSZAWA
1928

100 -

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 2387



BC KSK / 2387

STEFAN MOSZCZEŃSKI
profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

**U PODSTAW
ROZWOJU GOSPODARSTW
WŁOŚCIAŃSKICH W POLSCE**

Osobne odbicie z zesz. Nr. 14, 15,
16, 17 i 18 „Gaz. Roln.” 1928 r.

WARSZAWA
1928

DEPARTAMENT PRACY I OŚWIATY
Pray. O. S. B.
w Białymstoku

2387

DRUKARNIA
ROLNICZA
WARSZAWA
ZŁOTA 24

Chłop potęgą jest—i basta.

Choćbyśmy na razie przemilczeli narodowe, społeczne i polityczne znaczenie włościan, to jeszcze wielkiem pozostałoby zagadnienie gospodarczego rozwoju ich masy. Z gospodarczym bowiem rozwojem chłopu łączy się ściśle potęga ekonomiczna Polski. Cokolwiek mówilibyśmy o wywozie rolniczym, to nie będzie on wielki, póki chłop nie rzuci masowo swych wytworów na dalekie rynki Zachodu, a to dlatego, że w jego ręku jest więcej niż połowa gruntów i że jest on z natury rzeczy głównym wytwórcą eksportowych produktów zwierzęcych. Cokolwiek mówilibyśmy o rozwoju przemysłu, zbyt jego nie zyska dużej pojemności wewnątrz kraju, jeśli chłop nie stanie się wielkim jego odbiorcą, a to dlatego, że posiadacze drobni stanowią przeszło połowę ludności. Można do chłopu mieć sentyment, lub go nie mieć wcale, trzeba uznać, że w jego masach jest fundament i przyszłość Polski. Oczywiście nie chciałbym przez to zlekceważyć innych dróg rozwoju całego narodu, zależy mi jedynie na podkreśleniu, że z chwilą, w której włościanin polski wyjdzie z powijaków swej niedołęznej gospodarki, rolnictwo zaważy poważnie w bilansie handlowym Polski.

W rozumieniu tych wielkich spraw, które się otwierają przed nami, zwracamy się ku podstawom rozwoju włościanstwa, lecz odrazu spostrze-

gamy, że ciężki mrok nieznamości z naszej strony przesłania nam jego byt. Cóż my bowiem wiemy o włościaństwie, poza paru utworami beletrystycznymi i poza paru monografjami wsi polskiej? Od Wschodu do Zachodu i od Poł. ku Półn. całe życie gospodarcze ludu wiejskiego, budowa i ustrój jego warsztatów, kierunki wytwórcze i ich opłacalność są nam prawie zupełnie nieznanne. Gdyby chcieć przejść w poprzek życia gospodarczego i sięgnąć do głębin istnienia i poczynić chłopa polskiego, przyszyłyby nam na myśl przekształcone słowa Wyspiańskiego: „chłop zagadką jest i basta”. A przecież bez poznania tajników gospodarstw małych, ich form i kształtowań się w przeróżnych systemach, nie sposób jest pobudzić masy, ożywić je i poprowadzić w najwłaściwszych kierunkach rozwoju.

Starano się już nieraz dobyć wiadomości z tej bogatej kopalni niezbadanych przejawów.

Najdawniejsze usiłowania polegały na dokonywaniu opisów gospodarskich przez instruktorów rolniczych lub działaczy społecznych. Przegląd gospodarski robiony bywał w połączeniu z konkursem, czyli wyróżnieniem najlepiej zorganizowanych i prowadzonych gospodarstw, a ci rolnicy drobni, których gospodarstwa postawiono przed innymi, jako wzór do naśladowania, otrzymywali odznaczenia, niejednokrotnie nagrody.

W ten sposób Sekcja Rolna Tow. Popierania Przemysłu i Handlu przeprowadzała konkursy w latach: 1896, 1899, 1901 i 1903. Skromne wyniki tych konkursów, opracowane przez Stanisława Chełchowskiego i Antoniego Hempla dały pierwsze początki poznawania gospodarstw drobnych. Większym powodzeniem został uwieńczony w r. 1912 konkurs, urządzony przez Wydział Kółek Rolniczych C. T. R. Ten nowy konkurs zgromadził 128 uczestników. Stefan Jankowski uporządkował zebrane materiały i odtworzył w książce: „Jak gospodarują członkowie Kółek Rolniczych?”

Książka Jankowskiego rzuciła ciekawe światło na sposoby gospodarowania tej szczupłej garstki rolników, którzy stanęli do konkursu.

Konkursy mają dla poznawania stanu gospodarstw małych tę słabą stronę, że za pomocą nich obrazuje się wyróżniające się jednostki gospodarskie, a nie tę szarą, ciemną masę, której na imię miljon. Ta masa pozostaje nieznaną. Poza tem opisy dokonywane na konkursy są mało ścisłe, czasem nawet mało wiarogodne, szczególnie, kiedy liczby mają charakteryzować. Przecież to prosty rolnik podaje, co wie, a podaje na pamięć i na oko, wprawdzie przy pomocy objaśnień instruktora, lecz jakże ciężko mu wydobywać z głowy potrzebne wiadomości.

Wielkiego zadania podjął się Wydział Ekonomiki Rolnej Drobnych Gospodarstw Wiejskich Instytutu w Puławach. Wydział zorganizował wśród małorolnych prowadzenie rachunkowości rolniczej, gdyż, rzecz jasna, jedynie liczby mogą odzwierciedlić budowę, ustrój, kierunki i opłacalność gospodarstw, jedynie na materiale rachunkowym można oprzeć naukę o gospodarowaniu, jedynie z wiarogodnych cyfr można wyciągnąć wnioski i trafne wskazania. Na początek, zaraz w pierwszym roku, zgromadzono materiałów, nadających się do zamknięcia, mniej więcej z 450 gospodarstw. W roku bieżącym 1927—28 rachunkowość objęła znacznie szersze kręgi. Można liczyć na blisko 1600 zamknięć. Jest to ilość, jak na początek, dość pokaźna. Niestety, w stosunku do ogółu gospodarstw małych, jest to bardzo mała ilość. Ogół gospodarstw małych (do 50 ha) liczy w Polsce przeszło 3,200,000 warsztatów. Tysiąc sześćset zamknięć stanowi zaledwie 0,05%, t. j. jedno gospodarstwo z rachunkowością na 2,000 jednostek, co odpowiadałoby pięciu gospodarstwom z rachunkowością na całą własność większą w b. Królestwie Polskiem. Z tej znikomej zbiorowości próbnej mamy wnioskować o całym

zbiorowisku, t. j. przenieść uzyskaną charakterystykę na całość. Łatwo przeto zrozumieć, że to wnioskowanie obarczone jest wielką niepewnością.

Teoria prawdopodobieństwa *) mówi nam, że im liczniejszy zbadamy materiał i im wybór materiału jest trafniejszy, tem lepiej do całości zbiorowiska pasuje charakterystyka, uzyskana ze zbiorowości próbnej. Wydział Ekonomiki Rolnej Gosp. Drob. dąży do zwiększenia ilości gospodarstw, w których prowadzi się rachunkowość. Gdyby nawet doszedł do 10,000 zamknięć rocznie, mielibyśmy zaledwie około 0,3% ogółu gospodarstw objętych rachunkowością.

Oczywiście, sam stosunek liczbowy nie rozstrzyga. Ważniejszy jest wybór jednostek. Ileż to razy wnioskujemy z niewielkiej ilości okazów o miliardowym zbiorowisku i uzyskujemy dość trafną charakterystykę całości, jeśli, dajmy na to, budowa jakichś osobników w zbiorowości próbnej jest do siebie zbliżona. Nie możemy powiedzieć wogóle o gospodarstwach wiejskich, w tym wypadku o gospodarstwach drobnych, żeby były do siebie podobne. Nietylko na Zachodzie i Wschodzie, na Południu i Północy Polski gospodarstwa różnią się ustrojem, budową, kierunkami, ale w tej samej okolicy gospodarstwa bywają zupełnie niepodobne do siebie. Wschód zaś i Zachód, to dwa odrębne światy pod względem psychiki ludu.

Wydział Ekonomiki Rolnej Gosp. Drobnych obrał powiaty, jako terytorjalną podstawę rachunkowości. Już w pierwszym roku rachunkowość objęła 217 powiatów, w drugim roku 263, a więc prawie wszystkie. Na jeden powiat przypada po kilka gospodarstw. Nie sądzę, ażeby w ten sposób dało się uzyskać ogólną charakterystykę gospodarstw drobnych całej Polski. Obliczone

*) Teoria prawdopodobieństwa jest to zdrowy rozsądek przełożony na rachunek (Laplace).

średnie z tak różnorodnego materiału nie będą miały sensu, a dla danego powiatu kilka przykładów nie posiada dostatecznego znaczenia. Chcąc uzyskać więcej prawdopodobną charakterystykę, trzeba by podzielić całą Polskę na okręgi, podobne do siebie pod względem warunków przyrodniczych, ekonomicznych i kulturalnych, a w każdym okręgu zaprowadzić rachunkowość w dostatecznie licznych jednostkach gospodarczych, a potem charakteryzować za pomocą liczb przeciętnych, obliczanych z materiałów rachunkowych jednorodnych, odnoszących się do podobnych typów gospodarstw.

Wyniki otrzymane z materiałów rachunkowych nie są także dlatego ścisłą charakterystyką stanu gospodarstw drobnych w Polsce, że gospodarze prowadzący rachunkowość nie są przeciętnymi jednostkami wśród ludu wiejskiego, a również ich gospodarstwa wybijają się z pośród szarej masy. Więc i ten fakt, że nie sposób na razie zaprząć do rachunku i tych mniej kulturalnych gospodarzy, utrudnia poznanie stanu gospodarczego warsztatów drobnych.

Nie mniej praca Wydziału Ekonomiki Rolnej Drobnych Gospodarstw Wiejskich zasługuje na uznanie. Wydział, powołując do pracy inteligentniejsze jednostki z pośród małorolnych, rzuca tem samem zarzewie postępu na całym terenie Polski. Rachunkowość uczy gospodarza myśleć, otwiera mu oczy, zaciekawia i zachęca do reorganizacji, a jeden przykład, jedno żywe słowo z ust tego, który na sobie doświadczył dobroczynnych skutków rachunkowości, działa na poblisko żyjącą gromadę silniej, aniżeli wszystkie odczyty i nowinki przywiezione z miasta. Poza tem Wydział, tworząc ogniska rachunkowości we wszystkich stronach Państwa Polskiego, przeprowadza tem samem wielką próbę, która pouczy, czy wprowadzony typ rachunkowości jest właściwy w naszych stosunkach, i czy należy mieć tylko jeden typ dla całej Polski,

czy też metody rachunkowości dopasowywać do potrzeb i stanu kulturalnego różnych dzielnic. Wreszcie, choćby te wyniki, które obecnie otrzymujemy, nie były jeszcze dość trafną charakterystyką gospodarstw drobnych z przyczyn ich małej liczebności, a dużych różnic między warunkami i ustrojem gospodarczym, to przecież dzisiejsza praca Wydziału nie zamyka drogi do monograficznych opracowań w przyszłości, lecz raczej buduje ją i otwiera.

Wobec istnienia Wydz. Ekon. Rolnej Gosp. Drobnych, jeden z głównych celów przeprowadzania konkursów traci teoretycznie na znaczeniu. Kiedyś konkursy były jedynym sposobem poznawania stosunków gospodarskich na wsi, dzisiaj w miarę rozwoju prac Wydziału powinny się stawać tylko uzupełniającym materiałem, co prawda nieraz bardzo cennym, gdy idzie o monograficzne opracowanie pewnych okolic. Zato na czoło zadań konkursu wysuwa się z natury rzeczy wykrycie i zbadanie najlepszych gospodarstw, podobnie jak konkursy hodowlane służą do znalezienia najlepszego materiału hodowlanego na terenie objętym przez konkurs. Gospodarstwa najlepsze, wyróżnione mają służyć za wzór innym, mają pobudzać do postępu przez wykazywanie korzyści, wynikających z dobrej organizacji i zastosowania ulepszonych środków produkcji. Następnie na materiale opisowym i liczbowym z najlepszych gospodarstw możemy wykazać możliwość dalszego rozwoju i najważniejsze kierunki rozwoju. Jeśli zaś wśród szeregu gospodarstw znajdują się niektóre bardzo słabo zorganizowane i prowadzone warsztaty, to odsłonimy zapomocą ich analizy liczne błędy dla wykazania, że te błędy są powszednią przyczyną niepowodzeń. Tak tedy konkurs i jego wyniki, należycie opracowane, stają się pierwszorzędnej wartości nauką gospodarowania.

Praktycznie jednak konkursy spełniają do dzisiejszego dnia zadanie charakteryzowania ustro-

ju gospodarstw drobnych, bo Wydział Ekonomiki w badaniach swych dopiero zaczyna wychodzić poza ramy ścisłej rachunkowości (ruch produkcji i jej środków i ruch pieniężny), i wprowadzać opisy kolei obsiewów, stanu kultury, meljoracji i t. p. Tem więcej przeto musimy się interesować wynikami, które dały konkursy.

W Polsce Niepodległej pierwszy konkurs gospodarstw drobnych przeprowadził w r. 1922 Wydział Organizacji Gosp. Wiejsk. w Centr. Tow. Rolniczem w Warszawie. Do konkursu stanęło 311 gospodarstw. W roku następnym ogłoszono drugi konkurs, który dał obfitsze wyniki. Liczba gospodarstw zgłoszonych do obu konkursów wyniosła 848 z 44 powiatów, przeważnie Polski Środkowej. Jest to liczba dość poważna, jak na nasze stosunki. Ponieważ wzór opisu zawierał ponad 260 pytań, zebrano się wiele materiału do opracowania.

Podjął się opracowania materiału konkursowego redaktor „Gazety Gospodarskiej”, inż. Wojciech Chmielecki, kierownik Sekcji Gosp. Małych w Wydziale Org. Gosp. Wiejskich w C. T. R., i oto powstała jego pióra 246-stronicowa książka p. t. „Urządzenie gospodarstw małych”. (Warszawa, 1927 r.).

O tej książce czytałem już kilka sprawozdań. Treść jej i cel są jednak tak ważne, że zawsze warto powrócić do tego tematu. Książka zaś sama ma tem większe znaczenie, że jest napisana przez człowieka, który zna wieś polską od dziecka i mógłby swe wskazania napisać równie dobrze bez rozpisania konkursu. Konkurs dostarczył mu tylko materiału dowodowego i ciekawych opisów.

Kiedy redaktor Chmielecki przystępował do stworzenia książki, rozmawialiśmy z nim niejednokrotnie, jaki charakter jej nadać, praktyczny, czy naukowy. Wyznaję, że mnie interesowało przede wszystkim ujęcie naukowe, t. j. opracowanie materiału liczbowego, a nawet opisowego, pod ką-

tem współzależności zjawisk. Redaktor Chmielecki poczynił nawet w tym kierunku pierwsze kroki. Jego współpracownik w Sekcji Org. Gosp. Małych, inż. Stefan Łąguna, opracował niektóre stosunki współzależnościowe zarówno za pomocą prostych szeregów liczbowych na wzór prof. Laur'a, jak i na podstawie wzorów statystyki matematycznej według moich wskazań. Zestawienia były ciekawe i mogły silnie przemówić do czytelnika, ale redaktor Chmielecki nie dał się unieść polotom naukowym. Jemu szło więcej o to, aby jego książka trafiła do każdej strzechy włościańskiej, gdzieby stała się pobudką postępu gospodarczego. Więc jego zdaniem należało napisać ją łatwo, zrozumiale i zajmująco, ażeby mogli czytać nawet mniej światli gospodarze z prawdziwym zainteresowaniem i pożytkiem. Ten cel osiągnął redaktor Chmielecki najzupełniej. Książka jest dostosowana do umysłowości średnio inteligentnego włościanina, a napisana obrazowo i ciekawie. Można conajwyżej zarzucić, że tablice, w niej zawarte, są mało przejrzyste dla niewyrobionych umysłów ludzi prostych. Moim zdaniem zwykłe szeregi współzależności byłyby jaśniejsze od tych tablic, a przecież znaczenie szeregów statystycznych jest większe, niż przytoczenie surowego materiału. Ale to już jest rzeczą przekonania osobistego. Naogół autor wszystkie swe wskazania kładzie w głowy czytelników w ten sposób, że choćby czytelnik nie chciał, musi się niemi przejąć i je przyswoić.

Redaktor Chmielecki przechodzi w swej książce wszystkie działy produkcji, a więc gospodarke polową, hodowlaną, gałęzie poboczne. W gospodarce polowej jest mowa o uprawie ziemi, siewie, maszynach i narzędziach rolniczych, nawożeniu, poplonach i śródplonach, o wyborze roślin i stosunku ich obsiewu, kolejności i pielęgnowaniu roślin, o zbiorach, o łąkach i pastwiskach. W gospodarce hodowlanej spotykamy uwagi o sprzężaju,

chowie bydła, trzodzie chlewnej, owcach, drobiu, a rozdział trzeci „Gałęzie poboczne” jest poświęcony sadom, warzywnikom, pasiekom, uprawie roślin przemysłowych. Potem autor rozpatruje rodzaje zabudowań, zagospodarowanie nieużytków, daje liczne i bardzo trafne wskazania z zakresu urządzeń gospodarskich, nakłania gorąco do ruchu spółdzielczego, wreszcie zamieszcza indywidualne opisy niektórych gospodarstw.

Ogólne wrażenie, które otrzymujemy po przeczytaniu książki o urządzaniu gospodarstw małych, jest pocieszające dla wszystkich zainteresowanych rozwojem gospodarstw włościańskich. Wprowadzie przeciętny poziom tych warsztatów rolnych jest niski, bo czy orka, czy siew, czy inne zabiegi w polu są dokonywane niewłaściwie. Z hodowlą bydła, czy świń poczynają sobie gospodarze jeszcze nieumiejętniej. Materiał hodowlany, żywienie, pielęgnowanie zwierząt, a szczególnie zbyt wytworów zwierzęcych pozostawia pod każdym względem wiele do życzenia, a przecież to są gospodarstwa konkursowe. Choć instruktorzy mieli polecane przez kierownika Sekcji Org. Gosp. Dr., inż. Chmieleckiego, aby nie pomijali lichych gospodarstw, lecz aby starali się dać przeciętny obraz całości na badanym terenie, można jednak być pewnym, że poziom opisanych gospodarstw jest wyższy od średniego stanu.

Jeśli jednak mimo to czytelnik odnosi pocieszające wrażenie z kart książki, to dlatego, że wśród ogółu zacofanych gospodarstw znajduje się wiele takich, których kierownicy przyswoili sobie najzupełniej nowoczesne sposoby gospodarowania. W tych warsztatach ziemia jest dobrze uprawiona i nawożona. Z obornikiem gospodarze obchodzą się umiejętnie, chroniąc go przy przechowywaniu od strat, co jest zawsze najlepszym probierzem starannej gospodarki. Nawozy sztuczne stosowane są w dużych ilościach. Nie braknie narzędzi, a nawet maszyn. To też plony bywają wyso-

kie, a na dobrych ziemiach nawet bardzo wysokie. Budynki są murowane, jasne, dostatecznie przewiewne, inwentarze dochodowe wysoko produkcyjne, że nie powstydzilby się ich pierwszorzędnego warsztat folwarczny. Te gospodarstwa napawają serce otuchą i wiarą, że chłop polski jest podatnym materiałem do postępu, byle wnieść światło pod jego strzechę, byle go pouczyć, byle mu wskazać drogi rozwoju. Te gospodarstwa nadają ton książce. Ciężkie wrażenia odniesione po analizie braków, błędów, nieuctwa rychło się przemieniają w radosny nastrój. Im jesteśmy bliżej końca książki, tem z większą ufnością patrzymy w przyszłość Polski, silniej wierzymy w jej gospodarcze i moralne odrodzenie.

Bez wątpienia, ten pełen jasnych barw obraz namalował autor z głębokiej miłości, jaką żywi dla stanu włościańskiego. Tem samym zainteresowaniem tchną wszystkie wskazówki autora, dotyczące zarówno techniki zabiegów, jak i ogólnych urządzeń. Nie będę omawiał szczegółów techniki. Są to te same zagadnienia, które są przedmiotem badań w gospodarstwach folwarcznych, te same błędy tu i tam. Wiadomo, że włościanie orzą w wielu przypadkach o wiele za płytko, że nie posiadają odpowiednich narzędzi do uprawy, że nie dbają o czystość roli, siewają rzutem i t. d. Podobne stosunki spotykamy niejednokrotnie w gospodarstwach folwarcznych. Gospodarstwa drobne wyróżniają się tylko stopniem większego zacofania i zaniedbania.

Zato organizacja gospodarstw drobnych jest zupełnie inna, niż organizacja gospodarstw folwarcznych. Tu mamy całkiem odmienne ustosunkowanie czynników produkcji do siebie, co powoduje bardzo daleko idące różnice w gospodarowaniu. Warsztaty małe są w większości wypadków przeciążone kapitałem budowlanym, inwentarzem martwym i pociągowym, a także nadmiarem osób, które trzeba wyżywić, a dla któ-

rych brak odpowiedniego zajęcia. Koszt roczny utrzymania budowli, narzędzi i maszyn, koni przynajmniej znaczną część roku, ludzi walęających się bezużytecznie, bywa tak wielki w stosunku do rozmiaru ziemi, że pochłania cały dochód. Autor widzi ratunek w spółdzielczości i w reorganizacji gospodarstw. Spółka maszynowa umożliwi korzystanie z drogiej maszyn i narzędzi nawet gospodarzowi małorolnemu bez zbytejnego obciążenia jego kieszeni. Ale spółki maszynowe mają u nas najczęściej słabe powodzenie. Autor przypisuje ujemne wyniki złym umowom. Pospolicie brak w umowach jasnego omówienia, w jakiej kolejności mają spółnicy korzystać z narzędzi. Następnie, kiedy się narzędzie zepsuje, nie ma kto go naprawić. Zwykle spółnicy żądają, aby naprawił ten, u którego narzędzie uległo uszkodzeniu, ale to żądanie jest niesłuszne, bo zepsucie się bywa najpowszechniej następstwem całego szeregu poprzednich drobnych uszkodzeń, które się tafiały niewiadomo u kogo i z jakich przyczyn. Autor radzi wybrać opiekuna maszyny, złożyć fundusz na naprawę, określić czas i kolejność korzystania, kazać płacić poszczególnym członkom tylko za wyraźne uszkodzenia. Powodzenie spółki maszynowej, zdaniem mojem, zależy również w dużym stopniu od rodzaju narzędzi. Swary powstają najczęściej, gdy naglące są terminy użycia narzędzia, np. żniwiarki podczas trudnych żniw, albo gdy maszyna łatwo się psuje. Jest cały szereg narzędzi, które doskonale nadają się do spółdzielczego władania, np. maszyny do czyszczenia i gatunkowania zboża, wszelkiego rodzaju siewniki, a także narzędzia do uprawy i pielęgnowania roślin.

Wspomniałem o żniwiarce, bo ta maszyna jest klasycznym przykładem powstawania sporów o pierwszeństwo użycia. Żniwiarka jest również klasycznym przykładem, jakich maszyn kupno jest zbędne w gospodarstwach włościańskich. Wiele

zabiegów gospodarskich da się lepiej wykonać ręcznie, aniżeli maszynowo. Do takich zajęć należy koszenie siana, żęcie zboża, kopanie ziemniaków, czy buraków, gatunkowanie ziemniaków, przebieranie grochu na ziarno siewne, nie mówiąc już o doju i t. d. Pospolicie używane w gospodarstwach folwarcznych kosiarki, maszyny żniwne, kopaczki, sortowniki, mają za zadanie zmniejszyć ilość rąk roboczych. To jest ich jedyny cel. Wprowadzenie do gospodarstw chłopskich maszyn, ułatwiających pracę, jest niepotrzebne wobec nadmiaru rąk, a obarczenie tym sposobem gospodarstw nowym nakładem rzeczowym, który nie może być oprocentowany, jest błędem ekonomicznym.

Przeciwko nadmiernemu obciążeniu końmi autor daje znaną radę: konia usunąć ze zbyt małych gospodarstw, a zastąpić go pracą krów. Za granicą jest to zwyczaj powszechny u małorolnych. Należy go bezwzględnie rozpowszechnić u nas. Wprawdzie po wojnie widuję tu i owdzie gospodarzy orzących, a nawet bronujących krowami, ale to są rzadkie wypadki, bo upodobanie chłopa polskiego do konia i pewna próżność stoją na przeszkodzie tej niezmiernie pożytecznej reformie. Jeśli się okaże, że w niektórych okolicznościach koń jest niezastąpiony, lepiej, zdaniem autora, konia wynająć, aniżeli trzymać go cały rok.

Często się zdarza odwrotnie. Koń w gospodarstwie jest i jest potrzebny, ale za słaba to jednostka, aby za pomocą niej wykonać jakieś większe zadanie, np. należycie przeorać, t. zw. czterowolną glinę. Wtedy autor radzi zastosować zasadę wspólnych sił, t. j. sprzęgać konie dwóch, trzech gospodarzy i w odpowiedniej kolei pola uprawiać.

Na nadmiar budowli niema rady. Postęp gospodarstwa wymaga, aby budowle inwentarskie były ciepłe, wygodne, jasne, wysokie, a więc zupełnie inne, niż bywają obecnie. Również wymagania osobiste gospodarzy rosną. Już coraz

mniej jest chętnych do mieszkania w niskich, ciemnych chatach. Budują się dworki z gankami, na nich dachy ogniotrwałe, wokół duże okna z górnymi ramami do otwierania. Ale nie należy tego pędu, gdzie on jest, hamować, raczej pobudzać, bo rozwój włościaństwa uzależniony jest w znacznej mierze od kulturalnego mieszkania. Tylko trzeba nakłaniać, aby gospodarz w miarę możliwości przyczyniał się osobiście do wzniesienia budowli, czy to wyrabiając pustaki, czy obrabiając drzewo, czy coś podobnego. Coprawda chłop polski umie tanio budować, prawie z niczem w rękę rozpocząć i skończyć, choć to nie przesądza, że popęnia omyłki techniczne i że potrzebuje w tej dziedzinie pomocy instruktora-specjalisty, podobnie, jak w każdej innej.

O zużycowaniu nadmiaru rąk roboczych autor mówi obszernie. Jest to bowiem dla naszego Państwa bardzo poważna sprawa. Autor obrazuje ją ciekawą tabelą, której fragment, coprawda nieco przerobiony przeze mnie, podaję tutaj.

Tablica na str. 16 wyraźnie wskazuje, jak w miarę zwiększania się rozmiaru gospodarstw zmniejsza się na jednostkę powierzchni, w tym wypadku na 100 morgów, ilość osób zatrudnionych w gospodarstwach (p. kolumna IV). Spostrzegamy w niej stosunek współzależności wyraźny, prawie prostolinijny, ale ujemny. Można by go z łatwością ująć wzorem statystyki matematycznej, a więc jedną liczbą. Mówiąc poprzednio o wyższości ułożenia szeregów statystycznych nad przytoczeniem surowego materiału, miałem na myśli takie oto proste tablice, jak powyższa.

Z tablicy widać, że warsztaty małe są przesycone ilością osób. Autor przypisuje to zjawisko liczebności rodziny, która musi się mieścić, żywić i pracować na zbyt małych warsztatach, nie mając ujścia dla swych członków. Podana przyczyna jest istotna. Warsztaty są w stosunku do ilości osób tak nieraz małe, że nie wszyscy mogą znaleźć

zatrudnienie. Stąd ręce robocze nie są należycie wykorzystane. Wykonują one zaledwie część roboty, do której wykonania są zdolne, poza tem są bezczynne. Nie można zaś pozbyć się tych osób,

I		II	III		IV
Rozmiar gospodarstw w morgach		Średni rozmiar gospodarstw w każdej klasie w morgach	Ilość osób zatrudnionych w gospodarstwach przeliczona na osoby dorosłe		Ilość osób liczona na 100 morgów
			średnia ilość osób w gospodarstwach w danej klasie		
do	5	2,5	2,8		112,0
od	5	7,5	3,1		41,3
..	10	12,5	3,3		26,4
..	15	17,5	3,8		21,7
..	20	22,5	4,0		17,8
..	25	27,5	4,3		15,6
..	30	32,5	4,3		13,2
..	35	37,5	4,7		12,5
..	40	42,5	4,9		11,5
..	45	47,5	4,9		10,3
..	50	52,5	5,1		9,7
..	55	57,5	5,8		10,1
..	60	62,5	6,2		9,9
..	65	67,5	6,5		9,6
..	70	72,5	5,8		8,0
..	75	77,5	5,8		7,5
..	80	82,5	6,0		7,3
..	85	87,5	—		—
..	90	92,5	—		—
..	95	97,5	5,2		5,3

bo to rodzina. Trzeba im dawać środki do życia, których często brak dla wszystkich. Ta stosunkowo duża ilość głów zjada całą produkcję, tak, że trzeba jeszcze dokupywać. Powstają wskutek tego niemałe miejscowe trudności gospodarskie, a

niema nawet mowy o zbyciu produktów na wyżywienie miast, wojska, lub na wywóz zagranicę.

Jest tu jeszcze inna pominięta przez autora przyczyna tej ujemnej współzależności między rozmiarem warsztatu a ilością osób zatrudnionych w gospodarstwie. To zła organizacja robót. Mały warsztat zużywa więcej dni pracy na jednostkę produkcji, niż się to zwykle dzieje w gospodarstwie folwarcznem. Trudniejsze są bowiem warunki organizacji w małym warsztacie, a to z powodu znikomych rozmiarów pól, niekorzystnego ustosunkowania sił pieszych i sprzężajnych przy robotach, z powodu braku urządzeń technicznych, maszyn, narzędzi oszczędzających pracę człowieka, niemożebności skoncentrowania większej ilości ludzi w razie potrzeby i t. d. i t. d. Niekorzystny układ sił ciąży na gospodarstwach małych niezależnie od indywidualności osób pracujących, i jest jednym z powodów większej ilości osób zatrudnionych.

Trudno byłoby wdawać się w analizę liczbową przyczyn, wywołujących stosunkowe przesylenie pracownikami gospodarstw małych, bo materiał rachunkowy, którego dostarczył konkurs, nie jest dość szczegółowy, a przytem, praktycznie biorąc, mógł autor słusznie uważać ten temat na razie za nieaktualny dla przeważającej ilości gospodarstw drobnych, w których obojętną jest rzeczą, że ręce robocze są nieekonomicznie wykorzystane, bo i tak jest ich nadmiar. Tą sprawą zająć się powinien Wydział Ekonomiki Gospodarstw Drobnych w Puławach, mając dostatecznie ścisłe dane w swej rachunkowości, która uwzględnia w pozycjach dziennika czynności zmiany nawet ćwierćdniowe. Trzebaby jasno zdać sobie sprawę z przyczyn nadmiaru rąk, aby odpowiednio do wagi każdej z przyczyn obmyślać środki zaradcze, kiedy nadejdzie stosowna chwila.

Jak już mówiłem, autor książki o „Urządze-

niu gospodarstw małych" zajmuje się głównie środkami, zmierzającymi do usunięcia nadmiaru tych rąk, które nawet wobec dzisiejszej nieudolnej organizacji pracy w gospodarstwach małych są tam zupełnie bezużyteczne. Niegdyś, mówi autor, przeludnienie znajdowało odpływ w wychodźstwie do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, w wędrówkach sezonowych po Niemczech lub Danji, wreszcie w szukaniu zarobków w przemyśle i po miastach. Dzisiaj te drogi są prawie zupełnie zatarasowane, lub dają nieznaczny odpływ ludności. A ludność szybko się rozradza i przeludnienie staje się coraz większe, a skutki przeludnienia coraz groźniejsze.

Wobec niemożności znalezienia zarobku na obczyźnie, zachodzi pytanie wielkiej doniosłości: co począć z nadmiarem rąk roboczych? Autor szuka rozwiązania w reformie rolnej, meljoracjach i budownictwie wiejskiem, w rozwoju przemysłu domowego i uintensywnieniu warsztatów rolnych, nadając każdemu z tych środków zaradczych różną wagę i znaczenie.

„Najprostszą radą", czytamy, „byłoby powiększenie gospodarstw, istniejących w drodze parcelacji dużych majątków ziemskich". Lecz zaraz nasuwa się autorowi wątpliwość. Parcelacja, mówi, złagodzi nieco przeludnienie, ale nie na długo, a przytem zła nie usunie. Na tem kończy się u autora rzecz cała o reformie rolnej. Ponieważ reforma budzi zarówno duże nadzieje, jak i wątpliwości w opinii społeczeństwa, należałoby dodać słów parę. Parcelacja, mojem zdaniem, złagodzi przeludnienie poszczególnych warsztatów. Jest niewątpliwą rzeczą, że, jeśli rodzina pracuje na niewielkiej ilości morgów, i nie znajduje dostatecznej pracy dla swych rąk i dostatecznego pożywienia dla swych ust, to kiedy zwiększymy warsztat do odpowiednich rozmiarów, znikną dla tej rodziny fatalne warunki przesylenia ilością rąk i ust. Ale tylko dla tej rodziny. Na wsi pozostanie

ta sama ilość ludzi do pracy i nie zwiększy się powierzchnia ziemi. Zmiany, jakie zajądą, będą zależęć od indywidualności osobników, nabywających ziemię. Jeśli owe grunty obejmą w posiadanie włościanie, gospodarujący umiejętniej i intensywniej od poprzednich posiadaczy, to, rozumie się, więcej rąk znajdzie zatrudnienie produkcyjnie i zwiększy się wytwórczość ziemi. Ma to miejsce przy dobrowolnej parcelacji dalekich odcinków pól słabo zagospodarowanych majątków, ale pod warunkiem, że do kupna ziemi stają najdzielniejsze i najzasobniejsze jednostki z pośród włościan. Z reguły większą kulturę wnoszą osadnicy, przybywający z okolic, które górują intensywnością. Dlatego parcie na Wschód więcej kulturalnego żywołu z Polski Środkowej i Zachodniej musi mieć także pod względem ekonomicznym pierwszorzędne znaczenie dla państwa polskiego. Ale jeśli ziemia przechodzi do żywołu więcej opóźnionego w pochodzie za postępem, co jest powszechnym objawem wobec masowej parcelacji, to taka parcelacja tylko pozornie złagodzi kryzys ekonomiczny, w gruncie rzeczy wzmaęga na razie zło, wynikające stąd, że własność mała zatrudnia u nas ręce robocze mniej ekonomicznie, niż własność folwarczna, że średnio mniej produkuje, i że przez to pogarszają się środki zaopatrywania w żywność ludności miejskiej i wojska.

Szczęólnie szkodliwa jest parcelacja majątków z wysoką kulturą, majątków uprzemysłowionych lub zatrudniających wiele rąk roboczych w jakiegokolwiek wytwórczej gałęzi rolnictwa.

Autor, hołdując prawdopodobnie tym samym poglądom, zaledwie paru słowami dotyka zagadnień reformy rolnej, a szuka innych rozwiązań. Na jednej z dalszych stron czytamy: „Z czasem, gdy meljoracje gruntów przybiorą wielkie rozmiary, gdy wzmoże się ruch budowlany, wiele rąk znajdzie zajęcie". Na tem lapidarnem

ujęciu sprawy poprzestaje autor. Przyznaję mu, że przeprowadzenie meljoracji zatrudni liczne rzesze pracowników ręcznych, ale nie w tem główna waga wszelkich ulepszeń. Przedewszystkiem meljoracje są punktem wyjścia dla podniesienia intensywności gospodarstw, a więc są nieodzownym warunkiem jednego z najważniejszych sposobów zatrudnienia produkcyjnie wielkiej ilości rąk, a następnie meljoracje nieużytków, czy ziem źle użytkowanych otwierają nowe ziemie do zagospodarowania. Na olbrzymich powierzchniach od granic Wielkopolski aż po krańce Kresów Wschodnich rozciągają się błota zalane wodami, rudzieją niby to pastwiska, żółcą się piachy lotne, aż ciężko podróżującemu po Polsce patrzeć, że to się dzieje w państwie, które ma nadmiar rąk do pracy, które szuka za morzami miejsca na osadnictwo, byle zaspokoić głód ziemi nadmiernej liczby swych obywateli. Gdyby błota osuszyć, łąki zmeljorować, piaski ustalić i zagospodarować, przybyłoby parę milionów ha rolnikom do uprawy.

Małe znaczenie przypisuje autor przemysłowi ludowemu. „Pewną liczbę rąk roboczych na wsi”, czytamy na str. 137, „mógłby zatrudnić przemysł ludowy (tkactwo, kilimkarstwo, koszykarstwo i t. p.), gdyby był należycie rozwinięty i zorganizowany, przemysł ten jednakże może dać zajęcie niewielu tysiącom, nigdy zaś milionom; wielkich rzeczy przeto spodziewać się po nim nie można. Musimy tedy stwierdzić smutną prawdę, że żadnego pewnego ujścia dla nadmiaru rąk roboczych z naszych przeludnionych wsi narazie przynajmniej niema, z konieczności więc ten nadmiar ludzi musi w dalszym ciągu pozostawać na skąpych parcelach gruntu”. Trzeba więc złemu w inny sposób zaradzić. „W rozdziałach o wytwórczości roślinnej i zwierzęcej—czytamy—wykazano, jak olbrzymie różnice zachodzą między gospodarstwami prowadzonymi na stary ład, a gospodarstwami nowoczesnymi, zarówno co się tyczy osią-

ganych plonów roślin uprawnych, jak i wydajności zwierząt gospodarskich. Plony zbóż w większości gospodarstw tutaj omawianych wynoszą średnio około 7 ctn. m. z morga, a w całej masie gospodarstw dosięgają ledwie 5—6 ctn. m. Plony ziemniaków zazwyczaj nie przekraczają 60 ctn. m., często zaś nie przenoszą 30—40 ctn. m. Mleczność krów nie dosięga tysiąca litrów na rok od sztuki. Nie lepiej przedstawia się wydajność trzody i drobiu. Tymczasem w gospodarstwach postępowych, t. zn. prowadzonych według wskazań nauki, plony zbóż wynoszą około 10—12 ctn. m. z morga, a na urodzajnych gruntach dochodzą 15 ctn. m. i więcej; plony ziemniaków 120 i 150 ctn. m., buraków pastewnych do 600 ctn. m., zamiast zwykłych 100 czy 150; mleczność krów wynosi średnio 3000, a dochodzi do 5000 litrów, nieśność kur 200 jaj od sztuki na rok, zamiast 60 i t. d. Z tych porównań wypływa wniosek wyraźny, że gdyby ogół rolników gospodarował w taki sam sposób, jak to czynią obecnie najlepsi gospodarze, to mielibyśmy dwu, a może i trzykrotnie wyższą wytwórczość, wówczas dobrobyt ludności wiejskiej wzrósłby ogromnie”.

Jak widzimy, autor szuka w podniesieniu wytwórczości gospodarstw małych środka zaradczego przeciwko jednemu ze zgubnych skutków przeludnienia, a mianowicie przeciw brakowi środków odżywczych. Podniesienie wytwórczości tych najbardziej zaniedbanych warsztatów na poziom najlepszych łączy się niezawodnie z podniesieniem intensywności pracy, w której znajduje ujście znaczna ilość nadmiaru rąk. Autor uważa to nowe ujście dla pracy gospodarczej za tak oczywistą rzecz, że nie wspomina o niem, a zato zwraca uwagę czytelnika na wyszukiwanie nowych źródeł zajęć w tych gospodarstwach, które się już wybiły na czoło, lecz przecież mają przed sobą dalsze drogi rozwoju. Temi nowymi źródłami pracy jest, według autora, wprowadzenie uprawy

roślin, wymagających dużego nakładu rąk, staranniejsza uprawa i pielęgnowanie zbóż, względnie roślin motylkowych, wreszcie staranniejsze wykorzystywanie wszystkich pozostałych czynności gospodarskich. Rozpatrzmy z kolei te trzy kategorie zajęć, aby zdać sobie sprawę, jakie widoki rozwoju na tych drogach mają gospodarstwa małe.

Mówiąc o roślinach, wymagających dużego nakładu rąk roboczych, autor ma na myśli uprawę tytoniu, wikliny koszykarskiej, chmielu, roślin lekarskich, zakładanie sadów. Każda z tych roślin wymaga parokrotnie, a niektóra wielokrotnie większego nakładu rąk roboczych, aniżeli pospolicie prowadzona uprawa zbóż, t. j. prowadzona bez motyczenia i spulchniania międzyrzędów. Są to przytem rośliny bardzo dochodowe i nadające się do uprawy w gospodarstwach małych. Pan J. Biegański w „Przeglądzie Rolniczo-Ogrodniczym” (dodatek do „Gazety Rolniczej”, rok I, Nr. 12), omawia rośliny lekarskie szczególnie zalecane do uprawy w małych warsztatach. Więc i wprowadzenie roślin lekarskich w gospodarstwo ogrodniczo-polowe jest zagadnieniem na dobie. W Galicji już lat temu około czterdziestu poruszano sprawę przeludnienia i już wtedy szukano ratunku przeciw temu groźnemu objawowi w uintensywnieniu warsztatów drobnych. Jeden z ekonomistów rzucił w zapale hasło: niech uprawiają róże! Takimi różami są dla autora „Urządzeń”, rośliny lekarskie, chmiel, tytoń i t. p. uprawy.

W ustępie o staranniejszej uprawie i pielęgnowaniu roślin, autor zwraca uwagę na wykonywanie orek do odpowiedniej głębokości, oczyszczanie ziemi z chwastów i nadawanie jej należytej sprawności przez umiejętną uprawę, co pochłania dwa i trzy razy więcej pracy sprzężajnej i ludzkiej, niż zwykła licha uprawa, a w wyniku opłaca się sownie przez zwiększenie plonów. Małorolny znajdzie jeszcze więcej ujścia dla pracy swych rąk, kiedy przejdzie do siewu zbóż w szerokie

rzędy, do parokrotnego w ciągu rozwoju roślin motyczenia i dłutowania międzyrzędów, jak się to już praktykuje w niektórych przodujących gospodarstwach folwarcznych. Wreszcie omawia autor staranniejsze, niż obecnie, przechowywanie obornika, przyrządzanie kompostów, przekopywanie i utrzymywanie potrzebnych rowów w należyтым porządku, staranne czyszczenie bydła, utrzymywanie ładu i czystości w budynkach i obejściach gospodarskich. Wszystkie te czynności, pieczołowicie wykonywane, zajmują w sumie dość dużą ilość dni pracy w ciągu roku, a wiemy, jak wielkie korzyści przynoszą gospodarstwu.

To też godzimy się na wskazania red. Chmieleckiego w jego nowej książce bez zastrzeżeń. Ale niech nam będzie wolno jeszcze trochę rozwinąć jego myśli. Droga bowiem, która wiedzie do intensywności, jest nieskończona, i nigdy nie zawadzi wytknąć na niej jeszcze jeden słup przydrożny z napisem: co uczynić należy, ażeby przejść dalej? Tak oto mnie się wydaje, że można uintensywnić gospodarstwo włościańskie w jego systematach polowych, nietylko wprowadzając rośliny handlowe i ogrodnicze, lecz również zacieśniając stosunek ilości plonów do powierzchni.

Znane są w gospodarstwach ogrodniczych t. zw. systemy dwuplonowe. W jednym i tym samym roku uprawia się i obsiewa dane pole dwa razy i dwa zbiera się plony. Sądzę, że podobny system dałby się zastosować w gospodarstwach małych z odpowiednimi zmianami. Nieco zbliżonym przykładem do systemu dwuplonowego, jest u włościan praktykowany w cieplejszych dzielnicach naszego państwa sprzęt na siano seradeli, sianej w żyto, jako międzyplon. Na glebach, na których seradela nie udaje się, zastępuje ją lucerna chmielowa z zupełnem powodzeniem, zwłaszcza, że łatwiej ją wysuszyć, niż seradelę. Rozumie się, pytanie jest otwarte, co lepiej, czy poplony przyorywać, czy suszyć? Nigdy nie znajdziemy

na takie pytanie schematycznej odpowiedzi. Trzeba je rozwiązywać w każdym wypadku z osobna, uwzględniając miejscowe warunki klimatyczne, glebowe i potrzeby gospodarstwa.

Sprzęt żyta i seradeli w jednym roku daje dwa plony, ale pod względem intensywności nakładu pracy odskok nie jest duży, bo seradeli wsiewamy w żyto bez specjalnej dla niej uprawy. Już dalej idzie w tym kierunku zasiew w podorane ściernisko gorczycy białej celem otrzymania na jesieni zielonej karmy dla krów. Jeszcze dalej idącym przykładem systemu dwuplonowego jest uprawa rzepy ścierniskowej po sprzęcie rośliny kłosowej. Rzepa ścierniskowa daje w dobrych warunkach nawozowych i wilgotnościowych do 100 c. m., a nawet więcej z morga. Rozumie się, warunki nawozowe muszą być sprzyjające, aby rośliny mogły do jesieni pobrać dostateczną ilość pokarmu. W gospodarstwach folwarcznych spotyka się siew rzepy rzutowej. Rośnie ona bowiem szybko, okrywa ziemię bujnymi liśćmi i sama broni się przed chwastami. Ale właściciel gospodarstwa małego, posiadając dostateczną ilość rąk roboczych we własnej rodzinie, powinien siać rzepę ścierniskową rzędowo, przerwać ją w właściwym czasie, motyczyć i opleć starannie. Otrzyma w nagrodę większy plon. Najwłaściwszym przedplonem kłosowym dla rzepy ścierniskowej jest jęczmień zimowy, następnie żyto, względnie jęczmień jary. Jęczmień zimowy jest zupełnie dobrze popłatną rośliną nie tylko w gospodarstwach folwarcznych, lecz i włościańskich. W tym samym czasie, co jęczmień zimowy, schodzi z pola rzepak zimowy. Rzepa ścierniskowa siana w przeorane rżysko rzepaku może dać 150 c. m. z morga. To są wyniki zupełnie pewne, ale znów zachodzi pytanie, czy uprawiać rzepę ścierniskową po sprzęcie rośliny kłosowej lub rzepaku na zimową karmę dla krów i świń, czy też korzystniej siać poplon motylkowy na przyoranie? Wybór jednego

z tych dwóch systemów zależy od kultury ziemi i środków nawozowych, które rozporządza gospodarz”).

Klasycznym przykładem intensywnego systemu dwuplonowego jest flancowanie buraków pastewnych po wczesnych ziemniakach jadalnych. Ziemniaki schodzą z pola w pierwszych dniach lipca. W miarę kopania sady się z rozsadnika dość duże okazy buraków pod pług. Na dobrze wynawożonych ziemiach plon buraków dochodzi do 200 cent. metr. z morga. To połączenie dwóch roślin okopowych w jednym roku na tem samym polu ma już charakter systemu ogrodniczego, a bywa praktykowane u gospodarzy, których warsztaty leżą w bliskości miast i ośrodków przemysłowych, lub blisko stacji dróg żelaznych, ze względu na możliwość sprzedania ziemniaków na czas.

Po wczesnych ziemniakach udaje się znakomicie wiele roślin ogrodniczych, jak kalafior, szpinak, sałata, ale taka produkcja ogrodnicza ma w Polsce ograniczone zastosowanie, więc wspomina tu o niej mimochodem.

Wdzięcznym połączeniem dwóch plonów w jednym roku jest zasiew na jesieni wyki piaskowej w mieszance z żytem, a po jej sprzęcie uprawa innych roślin. Mieszanka wyki piaskowej z żytem schodzi z pola w drugiej połowie maja. Co się nie spasi na zielono, łatwo dosuszyć na kozłach lub piramidkach. Można w tym celu na wpół podeschniętą masę wywieźć z pola na wolne miejsce i na tych przyrządach usunąć z niej nadmierną wilgoć. Kozły do suszenia różnych zielenin powinny

) Rolnicy zrażają się do uprawy rzepy ścierniskowej bo się przechowuje trudno. Trzeba ją dołować starannie, podobnie jak marchew jadalną, cienko okrywać, to może służyć do lutego. Zostawiona w ziemi w gęstym ulistnieniu zimuje w razie lekkiej lub śnieżnej zimy, a wtedy wyrwamy ją i pasimy na wiosnę.

znajdować się w każdym gospodarstwie włościańskim.

Wiele roślin udaje się znakomicie po mieszance wyki z żytem, sianej w polu mocno wynawożonym. Więc przede wszystkim buraki pastewne flancowane, brukiew, kapusta, ząb koński, nawet ziemniaki, choć tak późno sadzone, dają do 100 c. m. z morga; dalej letnie mieszanki groszkowe na zielono lub siano, wreszcie ogrodowizny, jak kalafior, fasolka, szpinak na zbiór letni, buraki ćwikłowe, marchew jadalna, a także kukurydza flancowana. Pomysłowość ludzka jest przecież niewyczerpana. W pewnym gospodarstwie belgijskim sprzątano 13 razy w 8 polach! Nie widzę przyczyny, dlaczego nie miałby się przyjąć u naszych włościan system dwuplonowy, wszędzie, gdzie jest dobry warsztat rolny, gdzie jest wiele rąk do pracy, gdzie jest dużo dobrego obornika i łatwo o nawozy sztuczne. Trzeba bowiem o tem pamiętać, że system dwuplonowy wypiera międzypłony i popłony zielone, a jednocześnie stawia wielkie wymagania nawozowe.

Pierwszym najważniejszym krokiem do postępu jest należyte pielęgnowanie i zasilanie tych roślin, które już corocznie wchodzi w zwykłą kolej obsiewów. Dopiero, kiedy każda z roślin otrzyma najdoskonalsze warunki rozwoju, można myśleć o uintensywnianiu kolejności obsiewów. Warto, żeby rolnicy zapamiętali te uwagi. Spotyka się bowiem pośród nich wielu takich, którzy na niedobory, wynikające ze złej uprawy, słabego nawożenia i braku opieki podczas wzrostu roślin, szukają ratunku w wprowadzeniu płodów, mających jeszcze większe wymagania, niż dotychczas uprawiane rośliny.

W gospodarstwach włościańskich warunki rozwoju roślin są przeważnie nędzne. Wspomnieliśmy o niedostatecznej uprawie. Należy podkreślić, że nawóz otrzymywany od słabo żywionego inwentarza jest ubogi. Nawozów sztucznych włoś-

cianie mało stosują, więc niema pomysłowych warunków do wprowadzania intensywnych zmianowań dwuplonowych, a co najsmutniejsze nawet pielęgnowanie roślin pozostawia bardzo wiele do życzenia. Chcąc jednak dać ścisłą charakterystykę zabiegów włościanina polskiego pod wpływem pielęgnowania roślin, należy rozróżnić rośliny okopowe od zbożowych i strączkowych.

Właściciele małych warsztatów naogół nieźle obrabiają swe okopowe. Szczególnie ziemniakom poświęcają dość dużo starań, czasem więcej od sąsiada folwarcznego. Małorolni posługują się chętnie motyką, obsypują ręcznie krzaki ziemniaczane, co nie zawsze się spotyka w większej własności. Widuję nawet małorolnych, sadzących ziemniaki pod znacznik w kwadrat. Gorzej się przedstawia uprawa i pielęgnowanie buraków cukrowych. Małorolni, nie mając odpowiednich narzędzi, ani sił sprzężajnych, orzą za płytko, nie wyrabiają w ziemi sprawności, na którą burak jest tak wrażliwy, a kiedy przychodzi do pielęgnowania roślin, hołdują zasadzie: wyrwać chwast pełną garścią! Nie uznają hasła: nie dopuścić do chwastów! Więc istnieje pewien okres, podczas którego burak cierpi w gospodarstwie włościańskim więcej, niż w dobrze prowadzonym gospodarstwie folwarcznym, ale ostatecznie pole jest wypielone, w późniejszym okresie starannie utrzymane, tak, że rośliny niejednokrotnie dadzą dobry plon. Zależnie od okolic, różnice między plonami buraków w gospodarstwach małych, a w dużych, średnio wziętych, wynoszą dziesięć lub nieco większy procent na korzyść warsztatów folwarcznych.

Skandalicznie przedstawia się zato pielęgnowanie zbóż i roślin motylkowych w gospodarstwach małych. Pola obsiane zbożami stają się rozsadnikami chwastów na całą okolicę. Zboża jare są tak zawałone ognicą, czy łopuchą, że nie raz nie widać, ni jęczmienia, ni owsa, a pole wygląda, jakby siany był rzepak. W pewnym okresie

roku zółcą się pola chłopskie. Potem ognicha okwita, dojrzewa, a zboże ją przewyższa, lecz wkrótce nad zbożem wyrastają znów głowy ostów, rozrzucając białe tumany nasion. W pszenicy barwy chwastów są o wiele różnorodniejsze. Rośnie w niej masami mak, chaber, rumianek. Poza tem między korzeniami wszystkich zbóż przerasta ziemię gęsto perz, odbierając pokarmy i wilgoć. A ileż to pól jest pełnych szczawiu, skrzypu, podbiału!

Bardzo słusznie autor nawołuje brać włościańską do siewu pasowego zbóż, do motyczenia, spulchniania, jednym słowem do nowoczesnych metod przyjętych w gospodarstwach folwarcznych. Ręce są! byle je ruszyć do pracy. Dodałbym tylko, że nie wystarczy spulchniać i czyścić międzyrzędzia, trzeba w rządках osty i skrzypy wycinać głęboko lub wrywać z korzeniami, póki roślinki są małe, a wszelki inny chwast starannie pleć, ażeby wśród zboża i roślin strączkowych nie rósł z nich ani jeden. I na te zabiegi jest dosyć rąk.

Idąc coraz dalej w kierunku rozwoju intensywności, można postawić jeszcze jeden słup przydrożny z napisem: indywidualna uprawa roślin zbożowych! Pod indywidualną uprawą roślin rozumiemy wybór poszczególnych roślin przy sadzeniu i pielęgnowanie z uwzględnieniem ich osobniczego rozwoju. Ogrodnictwo jest gałęzią produkcji roślinnej, w której zabiegi zastosowane są do poszczególnych osobników indywidualnie i to nieraz w bardzo drobnych szczegółach, np. w sadownictwie, albo przy uprawie pomidorów, chrzanu, winorośli. W rolnictwie spotykamy się również z uprawą indywidualną, choć nie tak daleko posuniętą. Klasycznym przykładem jest produkcja ziemniaków. Wybieramy indywidualnie bulwy mateczne, umieszczamy je oddzielnie w oznaczonych miejscach (uprawa pod znacznik), obsypujemy wyrosłe krzaki, stosownie do rozwoju każdej poszczególniej rośliny. W produkcji buraków charakterystyczną cechą uprawy indywidualnej jest wybór najsilniej-

szej rośliny, a także w pewnym stopniu oczyszczanie chwastów wokół buraka.

Nowoczesne metody mają na celu upodobnienie upraw zboża do upraw okopowych przez bardzo rzadki wysiew, np. siew jednoziarnkowy, przez motyczenie, stosowanie ruszaczy, ale nie można pod tą uprawą rozumieć, w ścisłym tego słowa znaczeniu, uprawy indywidualnej roślin kłosowych.

Dopiero rozsadzanie zbóż wnosi do uprawy pierwiastek indywidualnego obchodzenia się z rośliną, co się wyrazi w wyborze roślin ze szkółki, w zwracaniu uwagi na przyjęcie się każdej z nich, zastępowanie nowemi w danym razie, a także w późniejszych zabiegach około każdego osobnika na polu. Flancowanie zbóż nie jest niczem nowem. Praktykuje się w Chinach od wieków. Robione były próby w Polsce. Rozpowszechniał je swego czasu Demczyński bardzo silnie. Dziś nauka niemiecka zainteresowała się żywo tem zagadnieniem. Oczywiście, flancowanie jest nie do wykonania na dużych powierzchniach pól folwarcznych bez specjalnych narzędzi, do których dążą Niemiecacy uczeni, ale jest zupełnie do pomyślenia w gospodarstwach małych, póki masa rąk beczynnych będzie zalegać wieś polską.

Mojem zdaniem, stacje doświadczalne powinny zająć się sprawą flancowania. Przedewszystkiem należy rozstrzygnąć, jaka będzie różnica plonów. Możliwe jest spodziewać dużej różnicy, rozważając teoretycznie korzyści, które roślina osiągnie z przesadzenia jej ze szkółki na grunt. Przedłuża się w ten sposób okres rozwoju, wybiera się tylko silne okazy, potem po przesadzeniu następuje bujne ukorzenie i rozkrzewienie się rośliny, co razem wzięwszy powinno dodatnio oddziaływać na dalszy ich rozwój. Ale nie można przesądzać wyników. W niektórych gospodarstwach różnica plonów wypadnie na korzyść flancowania. Jest prawdopodobne, że w innych gospodarstwach będzie

odwrotnie. Wiadomo przecież, że indywidualna kultura roślin wymaga bardzo silnego nawożenia, doskonałej uprawy, niezaniechania starań posiewnych, z którymi nieraz nie wolno spóźnić się ani o jeden dzień. Nawet trudno dziś przewidzieć, w jakich warunkach leżą granice powodzenia. Jest to zadaniem stacji doświadczalnych poznać najlepsze warunki rozwoju zbóż rozsadzanych, oznaczyć najwłaściwszy czas siewu w szkółce i czas flancowania, odległość rozmieszczenia roślin i t. p., a to w zależności od klimatu, rodzaju gleby, jej kultury mechanicznej i nawozowej.

Do flancowania nadaje się dobrze rzepak zimowy. Rzepak rozsadzany daje szczególnie dorodne ziarna, a na żyznych ziemiach wyrasta tak silnie, że go się kosa, ani sierp nie imią. Słyszałem, że żniwiarze wychodzili do ścinania rzepaku uezbrojeni w tasaki. Można by osiągać równie doskonałe wyniki z flancowania kukurydzy. Należałoby wysiewać ją w połowie kwietnia przy budynkach pod osłoną mat, a flancować, skoro się ciepło ustali. W ten sposób strefa uprawy kukurydzy posunęłaby się znacznie na północ.

Zachodzi jednak pytanie, czy nasi gospodarze daliby się namówić do tak wielkiej reformy. Bez wątpienia. Mówiono mi o gospodarzach, którzy robią próby z flancowaniem zbóż. Wstydzą się tych nowych rzeczy, które mogą się nie udać i narazić ich na pośmiewisko z'osliwych sąsiadów, więc sadzą ukradkiem, kiedy nikt nie widzi, i oczekują, co będzie. Wielka stałaby się szkoda, gdyby przez jakiś błąd popełniony z ich strony, próba się nie udała. Więc stacje doświadczalne tem bardziej powinny śpieszyć z pomocą naukową, ażeby najchętniejsi nie zniechęcili się do pracy, która może wprowadzić przewrót w dzisiejszych stosunkach. Gdyby bowiem zapanowały w gospodarstwach włościańskich systemy dwuplonowe, a zboża doczekały się kultury indywidualnej, nie potrzebaby sadzenia róż na gruntach wsi polskiej.

aby zużytkować korzystnie dla gospodarstwa społecznego bezczynne dziś ręce.

Myśląc o tych dalekich drogach, nie zapomina my ani na chwilę o rzeczywistości. Ubogim glebom polskim brak bardzo wielu warunków, które są niezbędne do osiągnięcia wysokiej intensywności. Przeważnie brak im wapna, próchnicy, odżywczych związków chemicznych. Warunki krążenia wody są źle uregulowane. Co tu myśleć o rzadkich siewach, jeśli roślina nie jest w stanie rozkrzewić się i rozrość, aby należycie ocienić ziemię! Co tu myśleć o szerokich międzyrzędach na ziemiach niedrenowanych, a wymagających drenowania! Jeśli się na wiosnę rozpada, a nie będzie można wejść w pole we właściwym czasie, to zboża siane rzadko w szerokie międzyrzędzia zarosną chwastami jeszcze rozpaczliwiej, niż to się dziś dzieje przy systemie gęstego siewu.

Gospodarstwa włościańskie nie stoją wyżej pod względem kultury od gospodarstw folwarcznych, lecz odwrotnie, pozostały znacznie w tyle w ogólnym pochodzie. Ziemie w gospodarstwach małych są słabiej nawiezione, gorzej doprowadzone, meljoracje są rzadkiem zjawiskiem. Więc tym gospodarstwom jest o wiele trudniej osiągnąć poziom, na którym można zboża uprawiać indywidualnie, stosować systemy dwuplonowe, czy w inny sposób wprowadzać intensywność uprawy z korzyścią dla produkcji.

Szachownica jest u włościan również wielkim hamulcem w rozwoju postępu, zwłaszcza, jeśli dojazd do pól są dalekie i utrudnione. Niewiadomo nawet, czy w niektórych wypadkach szachownica nie jest większą przeszkodą podnoszenia intensywności upraw, niż gleba niedrenowana, a podmokła. A ziem będących w szachownicy, razem z ziemiami potrzebującymi drenowania, a nie drenowanymi, jest większość w państwie. Ta większość gleb zostaje wykluczona na długi szereg

lat z programu pozwalającego związać wiele rąk roboczych z intensywną uprawą roślin.

Dlatego nie można na razie spodziewać się, że miliony rąk znajdą zatrudnienie w intensyfikacji ziemi. Trzeba wpiery zmienić wiele warunków. Gdy te warunki zmieniają się w całej Polsce, może tymczasem przemysł zabierze ze wsi ręce robocze i będziemy mówili o ich braku. To też ważną jest rzeczą, aby tymczasem wykorzystać wszystkie uboczne źródła pracy. Czytałem książkę szczegółowo, ale nie zauważyłem, żeby autor wspomniał o naprawie dróg. Jest to tak ważna rzecz, że warto by'ło poświęcić jej nawet osobny rozdział. Wskutek złego stanu dróg marnuje się wiele sił. W wielu okolicach na ciężkich glebach ruch kołowy ustaje w ciągu całych miesięcy. Cierpią na tem produkcja i handel. Gdzie ziemia są lżejsze, piaszczyste, łatwiej całorocznie utrzymać komunikację, ale wskutek złego stanu dróg i na tych ziemiach zwiększają się koszty transportu. Niektórzy rzeczoznawcy (inżynierowie dróg) obliczają te straty na miliony złotych. Trudniej obliczyć na gotówkę straty spowodowane opóźnieniem postępu, a możemy być pewni, że obok szachownicy i braku meljoracji, zły stan dróg jest u nas w wielu okolicach trzecim czynnikiem hamującym szybkość podnoszenia intensywności gospodarstw. Pisząc te słowa, mam na myśli gospodarstwa drobne, małe, średnie, duże, jednym słowem, całość warsztatów rolnych w Polsce. Rozumie się, im warsztat mniejszy, tem stosunkowo dotyka go mniej zły stan dróg i szachownica, ale trudno oznaczyć te stopnie przejściowe, i wątpić należy, czy ten wpływ ustaje u jakiejś granicy. Można tylko powiedzieć, że chłop na zagonie da sobie łatwiej od sąsiada folwarcznego radę w niedogodnych warunkach pracy.

Budowa i naprawa dróg wiążą się z ujściem dla nadmiaru rąk. Rzesze ludności wiejskiej po-

winny słać corocznie w czasie wolnym od pilnych robót polowych i naprawiać drogi pod dozorem inżynierów. Jeżeli nie staną dobrowolnie, należy wyrzucić przymus szarwarkowy. Tak robili Niemcy podczas okupacji, co ludność wiejska pamięta i chwali.

Z tych samych powodów, t. j. z chęci znalezienia jak najliczniejszych źródeł pracy, pozwalam sobie podnieść wpływ przemysłu domowego na kształtowanie się zarobków i zatrudnień. Mam bowiem wrażenie, że autor trochę bagatelizuje poboczne zajęcia ludu wiejskiego, wysuwając głównie uintensywnienie warsztatu rolnego, jako środek zatrudnienia bezczynnych rąk na wsi. Wprawdzie autor ma z jednej strony trochę racji, gdy mówi, że przemysł ludowy da zajęcie zaledwie tysiącom nowym, a warsztaty rolne mogą jeszcze pomieścić miliony rąk więcej niż dziś, ale gdy zważymy, że warsztaty naszych włościan nie są przygotowane do tak intensywnej produkcji, o jakiej tu mowa, że sami włościanie są za mało intelektualnie wyrobieni, aby podjąć nowym wielkim ideom, że postęp musi iść wolno siłą rzeczy, dojdziemy do przekonania, że na razie przemysł domowy może mieć równoznaczny wpływ na odciążenie nadmiaru rąk, co intensyfikacja gospodarstwa rolnego. To dopiero w przyszłości sama intensyfikacja warsztatów drobnych da zatrudnienie milionom bezczynnych, lub za mało czynnych osób, jeśli rozwój gospodarstw pójdzie w kierunku, który wskazał autor. Jeśli wierzyć materiałom statystycznym Ministerstwa Rolnictwa (p. „Stosunki Rolnicze”) i Ministerstwa Przemysłu i Handlu, to już obecnie przemysł ludowy zajmuje sezonowo lub stale przeszło 2 miliony osób. Po wojnie przemysł ludowy rozwija się bardzo silnie i rokuje dalszy rozrost. Wiele samorządów podjęło pracę nad jego podniesieniem. Poza tem istnieją specjalnie w tym celu założone

instytucje w Warszawie, Wilnie, Lwowie i w innych miastach.

Przemysł domowy będzie odgrywał dużą rolę nawet wtedy, gdy już nie będzie groźne prze-ludnienie wsi polskiej. Gospodarstwo wiejskie ma bowiem swój martwy sezon wszędzie tam, gdzie okres zimowy przerywa wegetację roślin. Wiele rąk zajętych przy uprawach i sprzętach jest wolnych. Jest to odpowiedni czas, aby rolnik za-jął się przemysłem domowym.

Ford *)], rozpatrując stosunki rolniczo-prze-ny-słowe w Stanach Zjednoczonych, nadaje duże zna-czenie możliwości połączenia rolnictwa z przemy-słem w ten sposób, ażeby następowała wzajemna wymiana usług fizycznych. Kiedy w rolnictwie nadejdzie martwy sezon, rolnik powinien iść do fabryki, aby pomagać w wytwarzaniu środków, które są jemu potrzebne. Tak samo fabryka mie-wa swój martwy sezon. To są znów odpowiednie chwile dla robotnika, aby szedł na wieś i poma-gał w produkcji żywności. W taki sposób, pisze Ford, możemy wykluczyć z pracy martwość i przywrócić równowagę między życiem sztucz-nem i naturalnem.

Ford, jak zwykle, wcielił szybko w praktykę swą ideę. W Northille, niedaleko od Detroit, sta-nęła mała fabryka zaworów, której robotnicy pra-cują częściowo w roli, kiedy nadejdzie odpowie-dni czas. Wyniki tego połączenia, jak pisze Ford, są całkiem zadawalniające. Inny zakład buduje się na trochę większą skalę w Flat-Rock, oko-ło piętnastu mil od Detroit. W tym zakładzie będzie wyrabiane szkło. Fabryka jest obliczona również na wykorzystanie sezonów martwych w rolnictwie. To też uważam za zdrową myśl, aby u nas praca na roli łączyła się z przemysłem domowym, czy to będzie wyrób koszyków, mebli giętych, kili-

*) Henry Ford: „Moje życie i dzieło“ Warszawa 1925.

mów, kręgów cementowych, pustaków, garnków, czy coś innego. Zdaje się, że tkactwo mogłoby zatrudnić najwięcej rąk. Tkactwo ręczne nietylko wytrzymuje współzawodnictwo z mechanicznem, ale ma nad niem nawet przewagę jakościową. Rozwija się łatwo po wsiach, jeśli się dostarcza robotnikom przędzy. W tym celu trzeba albo sprowadzać przędę z wielkich fabryk miejskich, albo też zakładać mniejsze spółdzielcze przędzal-nie po wsiach z myślą o rozbudzeniu tkactwa ręcznego.

Wprowadzenie do wsi polskiej przemysłu do-mowego na dużą skalę ma oczywiście na celu nietylko wypełnienie sezonów martwych, lecz rów-nież danie części ludności stałego rocznego za-jęcia, przez co tworzy się jedno ogniwo więcej w naturalnem ustosunkowaniu się czynników pro-dukcji w gospodarstwie włościańskiem, t. j. jak najwięcej nakładu pracy osobistej przy jak naj-mniejszym nakładzie rzeczowym.

W książce inż. Chmieleckiego znajduje się świetnie napisany rozdział p. t. „O poczynaniach zbiorowych“. Musimy bliżej rozpatrzyć zamie-szczone tu uwagi, bo one rzucają wiele światła na szereg zagadnień, bardzo żywotnych dla włościa-nina. Aczkolwiek przyjęliśmy motto, że „chłop potęgą jest i basta“, to jednak jest on tą potęgą tylko w masie. Gospodarstwo kilku-, kilkunasto-, a nawet kilkudziesięciomorgowe samo w pojedyn-kę jest ekonomicznie za słabe do spełniania wielu zadań, które w dużej mierze rozstrzygają o naj-wyższej dochodowości poszczególnych gospo-darstw. Do takich zadań należy między innymi zcalanie gruntów, przeprowadzenie meljoracji i budowa dróg, a więc wszystkie te trzy warunki, bez których jest utrudnione uintensywnienie go-

spodarstw rolnych. Mówiliśmy, że bez zdrenowania, gdzie ta meljoracja jest niezbędna, nowoczesne metody upraw zbóż są zupełnie wykluczone.

Drugim takim ważnym działem, w którym tylko poczynania zbiorowe torują drogę postępowi gospodarstw małych, jest zorganizowanie handlu i kredytu. Gospodarz jest na łasce handlarzy pośredników, czy to sprzedaje zboże, masło, jaja, czy kupuje środki pastewne dla krów, żelazo, smary. Wpada zaś w ręce lichwiarzy, kiedy musi pożyczać na spłaty rodzinne, a jeszcze gorzej, kiedy mu braknie środków na dożywienie się do końca roku. Jedyne wyjściem są zrzeszenia, kooperatywy kredytowe i sklepy spółdzielcze. Odegrały już one na wsiach wielką zbawczą rolę, a tak już znana, że autor prawie ją pomija milczeniem. Zajmuje go inna wielka idea: zorganizowanie sprzedaży zbiorowej, zarówno wytworów produkcji roślinnej, jak i zwierzęcej.

Szczególne znaczenie dla gospodarstw małych ma spółdzielczy przerób i zbyt nabiału. Właściciel gospodarstwa małego, trzymając krowę, jako źródło dochodów stałych, traci podwójnie w porównaniu do swego wielofolwarcznego sąsiada: na przerobie mleka i na sprzedaży. Otrzymuje bowiem mało masła z podstawiania się mleka w nieodpowiednich naczyniach, masło jest liche, a ceny są niezmiernie niskie, gdyż masło skupują handlarze. Położenie zmienia się odrazu, jeśli gospodarz należy do spółdzielczej mleczarni. Tam otrzymuje zapłatę za pełną wartość swego mleka. Przywozi więc do domu spory pieniądź, który go zachęca do zainteresowania się chowem zwierząt. Więc odtąd dokłada wszelkich starań, ażeby mieć mleka jak najwięcej. Nie szczędzi krowom paszy, a widząc, że skarmianie otrąb i makuchów opłaca mu się dobrze, zaczyna i te środki pastewne dawać swym krowom, uzyskując jeszcze większą mleczność. Co więcej, idąc za wskazów-

kami hodowlanymi, otrzymanymi w mleczarniach spółdzielczych, zasiewa mieszanki na porę letnią, sadi buraki pastewne, zakłada lucerniki, pielęgnuje łąki i pastwiska. Zaczyna się postęp na całej linii. Od krów dobrze żywionych otrzymuje gospodarz nawóz bogaty w pokarmy roślinne. Na bogatym nawozie plony są duże. Bogaty nawóz pozwala na intensyfikację zmianowania, co jest rzeczą niezmiernie ważną w systemach polowych, praktykowanych u nas przez włościan. Posiadacze małych gospodarstw siewają około 70% roślin kłosowych. Ten stosunek niezmiernie utrudnia utrzymanie roli w sprawności i czystości. Wprawdzie duże ilości nawozów sztucznych i staranna uprawa łagodzą w polu skutki złego następstwa roślin, ale nie zawsze wyrównują je w kieszeni. O wiele łatwiej i taniej można gospodarować, jeśli rośliny kłosowe są przegradzane okopowemi i pastewnemi.

Nasz włościanin nie mógł wprowadzić roślin pastewnych, póki nie widział korzyści z hodowli, a okopowe nie opłacały mu się wobec niskich cen na buraki cukrowe i ograniczonego zbytu na ziemniaki. Musiał przeto siewać wiele roślin kłosowych. Obecnie, wobec powstawania spółdzielni mleczarskich gospodarz wprowadza siew koniczyn, przelotu, esparcety, mieszanek motylkowych, zakłada lucerniki, uprawia buraki pastewne, brukiew, marchew, zależnie od rodzaju gleby, czasu i potrzeb gospodarczych.

Spółdzielcze maślarnie są najistotniejszym czątkiem postępu. Od nich idzie rozwój gospodarczy wielkim krokiem naprzód. Gospodarz wie, że „krowa paszą doi“, więc zaczyna, jak mówiliśmy, od lepszego żywienia. Wkrótce przekonuje się, że tylko dobra mlecznica płaci mu z nawiązką za obfite dawki karmy. Zła mlecznica gubi paszę w nawozie. Więc w chłopie polskim budzi się nowe zainteresowanie do podniesienia mleczności swych krów przez odpowiedni dobór matek

i stadnika, odpowiedni wychów i pielęgnowanie młodzięży.

Płyną stąd nieobliczalne korzyści. Przez chów inwentarza mogą się włościć w pewnym stopniu wyzwolić z pod wpływu warunków, działających hamująco na uintensywnianie gospodarstw. Choć grunta włościńskie są w szachownicy, choć nie są drenowane, a potrzebują drenowania, choć drogi są dla sprzężaju w pewnych okresach nie do przebycia, to jednak można poprawić materiał hodowlany, krowy mocno żywić, mieć bogaty nawóz, siewać rośliny pastewne, sadzić okopowe pastewne, a po świeży pieniądz iść do spółdzielni z mlekiem na plecach. Ta droga jest otwarta dla milionów rolników, i to od zaraz, a jest ogromnie nęcąca, bo nią płyną natychmiastowe zyski do kieszeni.

Autor przewiduje duże pożytki także z spółdzielczych zbiornic jaj. Mogą one odegrać w podniesieniu hodowli kur podobną rolę, jaka przypadła w udziale spółdzielniom mleczarskim w poprawie hodowli bydła. Gospodarze otrzymują za odstawiony produkt o wiele wyższe ceny, aniżeli płacą handlarze miejscowi, odpadają bowiem zarobki długiego szeregu pośredników, i co najważniejszą jest rzeczą, jaja, odbywając krótszą drogę bez pośrednictwa, dochodzą w stanie świeżym do miejsca swego przeznaczenia, gdzie jako pewne, są drożej płacone, niż dostarczane przez handlarzy. A wpływy gotówkowe z tego źródła mogą się stać bardzo poważne, jeśli gospodarze przestaną lekceważyć tę dział hodowli. „Obecnie gospodynie nasze, pisze autor na str. 179, trzymają po 10, 15, 20 kur, które znoszą średnio po 60, 70 jaj rocznie. Nieśność kur można bez nadzwyczajnych zachodów i to w niedługim czasie podnieść do 150 i 200 jaj rocznie, kur zaś da się utrzymać kilkakrotnie więcej, około setki, w niewielkiem nawet gospodarstwie. Setka dobrych niosek, odpowiednio żywionych i pielęgnowanych. zniesie 15

do 20 tysięcy jaj rocznie, a za taką liczbę jaj, licząc za sztukę choćby tylko po 15 groszy, możemy osiągnąć poważny dochód, wynoszący 2,000 do 3,000 złotych. Taki sam wysoki dochód może mieć gospodarz dopiero z 6 bardzo mlecznych krow, a więc na 20—25 morgach dobrej ziemi, gdy tymczasem 100 kur można utrzymać nawet w kilkorgowem gospodarstwie.

Choćbyśmy z tego optymistycznego rachunku, o ile idzie o masy gospodarstw, odpisali duży procent, to i tak pozostały obraz dochodów będzie dostateczną ponętą, ażeby skierować możliwie wielkie wysiłki do zakładania spółdzielczych zbiornic jaj i pobudzenia włościń do hodowli kur.

Sprawa spółdzielczej gospodarki chłopskiej była oddawna żywym tematem rozpraw w literaturze świata. Szkoła socjalistyczna poszła odrazu dość daleko, żądając uspołecznienia narzędzi pracy i wszystkich kapitałów czynnych w gospodarstwie poza ziemią. Rozumiano bowiem, że chłop nie pozwoli sobie odebrać ziemi, ale łudzono się, że się zgodzi na współwłasność budowli, inwentarzy żywych, martwych, kapitału obiegowego, skoro pojmie doniosły wpływ takiego władania na rozwój produkcji.

Hasła socjalistyczne nie przyjęły się jednak w praktyce. W dzisiejszym ustroju kulturalno-ekonomicznym spółdzielczość o wiele lepiej odpowiada interesom włościń, aniżeli spółwłasność. Spółdzielczość może doprowadzić do niesłychanie bujnego rozwoju gospodarstw na wsi, zwłaszcza jeśli ją poprze dobrze pojęta pomoc sąsiedzka. Autor wspomina o wzajemnem wypożyczaniu sobie koni. Należałoby jeszcze nacisk położyć na wzajemną pomoc ręczną w robotach, które grupowo dają się lepiej wykonać. Taki maleńki zaczątek spółdzielczej pracy ręcznej widzimy, kiedy się schodzą dwie gospodynie, aby do jednego koszyka kopać ziemniaki. Farmerzy amerykańscy schodzą się celem wspólnego żniwowania lub młócenia.

Chłop, pracujący własnymi rękoma przy swym warsztacie, posiada w porównaniu do robotnika folwarcznego o wiele żywsze zainteresowanie wynikiem swej pracy, ma przytem niespożyta wytrwałość, czem góruje nad właścicielem folwarcznym, łatwiej przeto, niż właściciel folwarczy, opiera się niepomysłnym losom, nietylko przez tę niespożyta wewnętrzną zawziętość, ale i przez układ wewnętrznych stosunków w swem gospodarstwie. Jeśli mu usunąć te niedomagania, które pochodzą z niekorzystnego ustosunkowania kapitałów, ze złej organizacji pracy, z odosobnienia tej małej komórki organicznej, to jego warsztat przestaje być słabą ekonomicznie jednostką, która sama niewiele może począć, a staje się zwartą potęgą. By ta potęga stała się twórczą, potrzeba udziału tylko jeszcze jednego czynnika, bez którego celowość zabiegów gospodarczych jest nie do pomyślenia. Tym czynnikiem jest obfity dopływ wciąż świeżych sił umysłowych do każdej z komórek organizmu gospodarczego.

Im wyższe pod względem kultury pierwiastki mają być wniesione, im intensywniej ma być warsztat prowadzony, im więcej sił roboczych ma zatrudniać, im nowsze idee mają się oblekać w czyn, tem większy musi być udział głębokiej znajomości fachowej, tem większa musi istnieć stosunkowa przewaga sił duchowych nad fizycznymi. Pod tym względem niema różnicy między gospodarstwem małym, a dużym. Jedno i drugie potrzebuje tego dopływu jak najwięcej. Inne są tylko sposoby nasycenia czynnikami umysłowymi gospodarstw różnego rozmiaru.

Gospodarstwo duże, zwłaszcza wielofolwarczne, może mieć na zawołanie własne siły intelektualne, płatne przez przedsiębiorcę, a więc świadczące usługi temu jednemu wyłącznie gospodarstwu. Tak też zwykle bywa. Na czele dużych przedsiębiorstw rolnych stoi fachowo przygotowa-

ny kierownik, którego intelekt pobudza do życia cały organizm gospodarski. Od tego jednego człowieka zależy tętno życia, od jego przenikliwości poznanie i usuwanie błędów, od jego zdolności przewidywania doskonałość plonów, od jego energii wykonanie zamierzeń. Wszystkie poczynania idą z niego i przez niego. Kierownik jest sprężyną całego skomplikowanego mechanizmu, którego szybkość obrotu i kierunek musi być stale nastawiany, zależnie od konjunktur gospodarczych, społecznych, politycznych. Zwykle nikt mu nie pomaga. Jest sam jeden. Nic przeto dziwnego, że mało jest ludzi, którzy sprostają zadaniu pod względem wiedzy, zdolności, energii, charakteru. Za mało bywa w jednym człowieku sił duchowych, ażeby niemi mógł dostatecznie silnie przepoć wszystkie tryby gospodarstwa, ażeby nie uchodziły jego uwagi ważne szczegóły każdego dnia, ażeby skutek tego nie stało się to, co się zwykle dzieje, że gospodarstwo idzie mniej lub więcej na ślepy los.

W książce mojej o „Podniesieniu dochodowości gospodarstw wiejskich przez reorganizację sił kierowniczych” *) starałem się wykazać potrzebę wprowadzenia do gospodarstwa nowej siły umysłowej w postaci t. zw. kontrolera ruchu, który byłby okiem, kliszą fotograficzną, czy nawet częścią mózgu kierownika. Już jest kilkadziesiąt lat, odkąd na skutek rewolucji pojęć, wywołanej przez Taylor'a, przedsiębiorstwa przemysłowe w różnych częściach świata dążą do większego stosunkowo nasycenia się siłami intelektualnymi, kierowniczymi, badającymi, poznającymi, pilnującymi wykonania, przez powołanie licznego składu osób o różnych funkcjach i przeznaczeniach. My rolnicy zginiemy, o ile nadal pozostaną na wsi

*) Warszawa r. 1926. Skład w Księgarni Rolniczej Nowy Świat 35. Stron 35.

dotychczasowe stosunki: za wiele rąk do czarnej roboty, za mało tych, którzy są mózgiem przedsiębiorstwa!

Gospodarstwo małe jest za słabą jednostką, ażeby samo mogło się zdobyć na potrzebny dopływ sił umysłowych, musi się starać o tę pomoc zbiorowymi siłami, a więc znów spółdzielczo. Dziś powszechnie tak się dzieje, że Kółka rolnicze, czy Towarzystwa rolnicze utrzymują instruktorów, którzy udzielają gospodarzom podstawowych wiadomości rolniczych.

Dotarcie ze słowem nauki do milionów jest narazie niewykonalnym zadaniem. Z konieczności trzeba się ograniczyć do oddziaływania na jednostki bardziej wrażliwe, bardziej chętne do słuchania nowych idei. W tym celu na zebraniach Kółek rolniczych rozpowszechnia się podstawowe zasady uprawy, nawożenia, siewu, racjonalnego żywienia i chowu zwierząt, obchodzenia się z obornikiem i t. p. Jest to wdzięczne zadanie dla wykształconych właścicieli ziemskich, którzy powinni wespół z instruktorami prowadzić systematyczną pracę nad oświeceniem swojej młodszej braci w imię dobra Polski.

Nauczanie rolnictwa na zebraniach ma dodatni skutek, póki jest mowa o ogólnych zasadach techniki, czy organizacji rolniczej, lub o kardynalnych błędach, które się codzień bezświadomie popełnia na warsztacie pracy, a także dla pobudzenia tętna życia gospodarczego zebrania mają pewne znaczenie. Ale ten podniosły nastrój, jakby świąteczny, nie da się długo utrzymać. Słuchacze, albo się znudzą i przestaną przychodzić, albo będą żądać konkretnych rad. Chcą wiedzieć, jak mają w danym wypadku głęboko orać, jak ziemię doprawić, jak gęsto siać, jakie dać nawozy i w jakiej ilości, jak ziarno doczyścić lub zaprawić, jakie wybrać odmiany zbóż, okopowych, drzew owocowych, jak te drzewa owocowe prowadzić,

jak owoce zbierać, przechowywać, opakować do wysyłki, jak żywić indywidualnie zwierzęta, jak dobrać paszę według udojów próbnych, jak zwierzęta leczyć. Przecież gospodarz nasłucha się wielu rad na zebraniach, nie wszystkie jednak zrozumie; nie zawsze umie wykonać, choć nawet zrozumie, a co ważniejsze, instruktor nie da trafnej szczegółowej wskazówki z za swego stołu, przy którym przemawia. Jeśli rada ma prowadzić do celu, musi instruktor zjechać na miejsce i zbadać wszystkie warunki miejscowe: glebę, położenie, stan kultury, stosunki wilgotnościowe, historję pola, potrzeby gospodarstwa, stosunek obsiewów, siłę pieniężną właściciela, a także musi wniknąć w ducha tego małorolnego posiadacza, któremu daje radę, bo nie każda rada dla każdego jest dobra.

Jak się przekonujemy bardzo często, proste poczynania z zakresu techniki wymagają szczegółowych badań terenu, a nawet ustroju gospodarstwa. Tem bardziej niezbędny jest przyjazd instruktora i dokonanie przezeń analizy warunków, kiedy idzie o zagadnienia z dziedziny organizacji, a więc kiedy idzie o ułożenie kolei i rozmiaru obsiewów, unormowanie liczby i rodzaju zwierząt pociągowych i dochodowych, a więc wyznaczenie kierunku wytwórczości rolnej i zwierzęcej, a także kiedy idzie o wskazania, jakie narzędzia i maszyny trzeba nabyć, jak zaprowadzić szczegółową rachunkowość i t. d. i t. d.

Ogólne wskazania o charakterze organizacyjnym w zastosowaniu do szczegółów organizacji jeszcze się mniej przydadzą od ogólników technicznych w zastosowaniu do szczegółów techniki. Trzeba być na miejscu, przepatrzyć całe gospodarstwo, przetrwać w myślach jego warunki i zadania, obrachować ściśle i umiejętnie, z zdrowym sensem przewidzieć, co się opłaci, a czego należy unikać. Dopiero wtedy rada może być coś warta, i to jeszcze z zastrzeżeniem. Najlepsza rada może się okazać zgubna, jeśli niema nikogo, ktoby umiał

śledzić jej wykonanie. Nieraz okazuje się, że plan zawodzi, mimo, że był oparty na możliwie ścisłych obliczeniach i przewidywaniach zgodnych z nauką, i to niewiadomo, czemu zawodzi, czy, że pojawiły się nowe niespodziewane okoliczności, które weszły w grę, a przedtem nie wchodziły, czy, że okoliczności, brane pod uwagę, zostały uwzględnione nie według swego właściwego znaczenia. Jakabądź była przyczyna, trzeba projektowaną reformę poddać rewizji w całości lub w szczegółach. Jeśli rzecz jest trudna, nie rozwiąże tego zadania prosty umysł włościanina. Jakże bowiem może gospodarz, stojący zdala od nauk, zdać sobie sprawę z wszystkich zjawisk gospodarczych, jeśli ma to który rolnik z wyższym wykształceniem umie przeprowadzić ich analizę dostatecznie trafnie?

Kto nie chce w swem gospodarstwie iść po omacku, musi się kierować rachunkowością, która jedynie daje ścisły materiał liczbowy do kontroli, analizy i planowania. Prowadzenie gospodarstw bez pomocy cyfr jest kosztowną zabawką, której smutne wyniki nie długo każą na siebie czekać w dzisiejszych czasach. W zarządzie gospodarstw małych stanowisko rachunkowości jest nie mniej ważne, jak w zarządzie gospodarstw folwarcznych. Mówiliśmy na wstępie o konieczności poznania ustroju, kierunków i opłacalności gospodarstw małych celem stworzenia nauki, zwanej ekonomiką gospodarstw, i wyciągnięcia z tej nauki odpowiednich korzyści dla praktyki. Stwierdziliśmy następnie, że bez zdobycia ścisłych materiałów rachunkowych budowa ekonomiki byłaby tworem oderwanym od rzeczywistości.

Rachunkowość rolnicza daje posiadaczowi małego warsztatu, oprócz ogólnych korzyści, tak samo duże bezpośrednie zyski, jak posiadaczowi warsztatu folwarcznego. Mówi się wprawdzie, że włościanin ma wszystko w głowie, bo gospodarstwo jego jest małe, ale to błędny pogląd. Tylko składniki majątkowe, t. zw. inwentarze majątku są

zapisane głęboko w pamięci chłopskiej, i to tylko pod względem ilości sztuk. Gospodarz małorolny wie o każdym postronku i każdym gwoździu, ukrytym gdzieś w komorze, ale różnice wartości inwentarzy z początkiem i końcem roku są mu już nieznane, a więc nieznana jest mu jedna z ważnych części składowych dochodu czystego.

Chłop nie wie, ile mu każda kura znosi jajek, ile która krowa daje mleka, ile taka krowa zjada paszy, co pasza kosztuje. Chłop nie wie, jakie miał w ciągu roku wpływy i rozchody kasowe, jakie więc były wydatki osobiste, a jakie gospodarcze, ile zarobkował z zajęć ubocznych, gdy zajęć jest wiele i są różnorodne, nie wie, jakie są koszty produkcji każdej gałęzi, jakie dochody czyste z całości, jaka opłacalność pracy jego głowy i rąk. Kontrola ruchu stanowi dziedzinę zupełnie nieopanowaną przez jego pamięć. Nawet na myśl mu nie przyjdzie badać, ile to dni w roku jest źle wykorzystanych przez nieodpowiedni rozkład zajęć lub nieumiejętny system gospodarstwa polowego. Chłop błądzi po takim samym ciemnym lesie, jak jego sąsiad wielofolwarczny. I tak samo jak jego sąsiad wielofolwarczny, z chwilą, w której zacznie zapisywać codzienne obroty, sumować je i analizować, dostrzeże przed sobą nowy świat, który go zaczyna pociągać do coraz nowych i coraz więcej szczegółowych badań. Grubym przesądem jest pogląd, że gospodarstwo chłopskie jest proste, bo jest małe. Jest ono małe, ale bardzo zawile, a analiza rachunkowa procesów jest trudniejsza w gospodarstwie małym, niż w dużym, z tej przyczyny, że w gospodarstwach małych bilanse gospodarstwa domowego lub zajęć ubocznych są często równe co do wielkości bilansowi gospodarstwa rolnego i stąd zachodzi potrzeba bardzo ścisłego rozdzielenia jednych od drugich.

To też bardzo ważnym obowiązkiem opiekuna gospodarstw małych jest pobudzenie gospodarzy do prowadzenia szczegółowej rachunkowości.

Praktyka już wykazała, że to zadanie jest możliwe do spełnienia. Chłop polski jest bardzo pojętny, wnikliwy i wytrwały. Choć natura polska wzdryga się przed rachunkowością, to jednak tam, gdzie chłop przekonał się o jej pożytku, staje się mu ona ulubionym zajęciem. Znane są wypadki, że zapisywanie jaj od każdej nioski wprowadzało rewolucję w hodowli kur u chłopów polskiego. Jeszcze dalej sięgającą rewolucję wprowadza zapisywanie mleka od każdej krowy, dochodu z tego mleka i zestawianie osiągniętego z tego źródła dochodu z innymi wpływami z gospodarstwa.

Opiekun ma za zadanie zaprowadzić rachunkowość u gospodarzy, t. j. pouczyć ich, jakim systemem mają ją prowadzić, książkowym, czy raportowym, ma następnie pilnować prowadzenia rachunkowości w ciągu całego roku. Z tych materiałów rachunkowych opiekun wyciągnie sam wiele ciekawych wniosków, spostrzeże niektóre błędy i zwróci na nie uwagę gospodarza, wykaże namacalnie korzyści z nowych kierunków, czy to z hodowli, produkcji roślinnej, czy z udziału w ruchu spółdzielczym. Co rachunkowość daje narazie, w codziennym ruchu, powinien opiekun wykorzystywać bez oglądania się na obcą pomoc. Opracowanie analityczne całego materiału, skojarzenie skutków i przyczyn, uogólnienie wyników pracy w jakichś prawach organizacyjnych, te zadania, przechodzące zakres przygotowań opiekunów, przypadną w udziale odpowiednim instytucjom, czy katedrom naukowym. Wydział Ekonomiki Rolnej Gosp. Drobn. w Puławach jest specjalnie powołany do spełnienia tych zadań.

Autor „Urządzeń gospodarstw małych” doskonale rozumie potrzebę roztoczenia stałych opiek nad gospodarstwami małymi i wprowadzania do ich słabych organizmów szczegółowej rachunkowości, choć o tem w swej książce nie rozpisuje się. Przecież to Sekcja Organ. Gosp. Drobnych, której autor jest kierownikiem, prowa-

dzi rachunkowość systemem raportowym w gospodarstwach małych. Ta sama Sekcja wywiera nacisk na instruktorów Centr. Tow. Roln., żądając, aby każdy z nich zajął się szczegółowo pewną ilością gospodarstw. Prace w tym kierunku są już rozpoczęte i zapowiadają dobre wyniki. Szczególna uwaga jest zwrócona na gospodarstwa świeżo zcalone, które potrzebują zaplanowania nowej organizacji od samych podstaw, bo dawne formy gospodarowania zupełnie nie odpowiadają wytworzonym warunkom po zcaleniu. Ten okres przejściowy, który się wytwarza między starym a nowym ładem, jest trudny, zawiły, ciężki do rozplątania i niebezpieczny. Zachodzi bowiem obawa, że posiadacz zcalonego gruntu zacznie wprowadzać ład stary i przez to zatrzymuje postęp znów na długą ilość lat.

Jest to niezaprzeczenie wielką zasługą Centr. Tow. Roln., że rozpoczęło zupełnie nową rzecz, ale wyniki C. T. R., to zaledwie maleńka cząstka roboty do wykonania. W r. b. paręset gospodarstw małych będzie pod kierownictwem opiekunów instruktorów. Cóż to znaczy wobec milionów! Zapewne trzeba patrzeć na każdą jednostkę gospodarczą, prowadzoną wzorowo, jako na ognisko, które będzie promieniować na gospodarstwa sąsiednie, ale nie mniej ta liczba jest jeszcze niczem.

Byłoby ideałem, gdyby wszystkie gospodarstwa małe były pod kontrolą ludzi fachowych. Każdy kontroler gospodarstw małych miałby w swej opiece pewną ilość wsi, zależnie od odległości między wsiami, od stanu dróg, które łączą wsie od środków komunikacji, które kontroler mógłby rozporządzać, od materiału ludzkiego, z którym miałby do czynienia, od stanu i rozwoju gospodarstw. Musiałby doradca - opiekun znać każde gospodarstwo w szczegółach, w każdym gospodarstwie raz po raz być, z gospodarzem narady toczyć, pouczać, pokazywać, kontrolować,

nowego ducha tchnąć w zastarzałe systemy, życie uspołecznić, do spółdzielczości ciągnąć, co sił.

Opiekunowie gospodarstw małych, to organizatorzy każdej z osobna jednostki gospodarczej w całości jej zadań i zarazem kierownicy procesów, które wytwarza miejscowa organizacja, spełniają więc rolę administratorów - opiekunów. Administrowanie, to ich, kontrolerów, proces wewnętrzny. Opracowują plan i wykonanie planu w najdrobniejszych szczegółach, jakby mieli sami wykonywać. Opiekunami są tylko, bo nie w ich ręku wykonanie, ale w zgrzebnem ręku włościanina, na którego muszą tak oddziaływać, aby się przejął ich myślą i według ich wskazań postępował.

Ci duchowi kierownicy małych gospodarstw mają wielkie zadanie. Powodzenie ich działalności zależy od ich przymiotów osobistych i wiedzy fachowej, szczególnie od umiejętności organizowania na podstawie gruntownej praktyki rolniczej. Pożądaną jest rzeczą, aby opiekunowie mieli wyższe wykształcenie rolnicze, ale ponieważ trudno jest wogóle o dobrych pracowników, można się zadowolnić kandydatami z wykształceniem średnim. Zato konieczną, bezwzględnie konieczną jest praktyka rolnicza we wzorowym gospodarstwie rolniczym i wzorowym gospodarstwie włościańskim. Dobra praktyka w gospodarstwie folwarcznym daje większy rozmach, warsztat mały przyucza praktykanta do wykonywania robót własnoręcznie, co jest niezbędną rzeczą dla instruktora, i wprowadza go odrazu na teren przyszłej jego działalności.

Mimo odbycia podwójnych praktyk, o ile wogóle ten ideał zostanie osiągnięty, i mimo pewnej sumy wiadomości teoretycznych, opiekunowie gospodarstw małych będą z natury rzeczy za słabo przygotowani, ażeby sprostać wszystkim zadaniom, jakie stawia reorganizacja i prowadzenie

warsztatów drobnych. By nadać ich pracy większą fachowość, trzeba za przykładem Wydziału Organizacji C. T. R. powołać szereg t. zw. inspektorów urzędów rolnych. Wydział Organizacji ma ich obecnie dwóch. Zadaniem inspektorów jest czuwanie nad pracą opiekunów, pouczanie ich i wdrażanie do tej odpowiedzialnej, a trudnej pracy. Jasną jest rzeczą, że ci inspektorzy-kierownicy muszą posiadać wykształcenie rolnicze wyższe, wyspecjalizować się w kierunku ekonomiczno-społecznym i posiadać gruntowną praktykę większą w warsztatach dużych i małych.

Do podtrzymania odpowiedniego poziomu pracy zespołu instruktorów, należy możliwie mocno związać instytucję instruktorską z akademickimi uczelniami rolniczymi, z instytutami badawczymi i stacjami doświadczalnymi. Gdyby nawet wszyscy opiekunowie gospodarstw drobnych mieli poza sobą ukończone studia wyższe, to każdy rok życia spędzonego na praktycznym ujmowaniu zjawisk, oddala ich od nauki, t. j. od poznawania stałych ogólnych praw, a przyucza do wnioskania na podstawie ciasnego kręgu spostrzeżeń. Instruktorzy tem łatwiej obniżają swój poziom, że ich przygotowanie fachowe teoretyczne jest przeważnie bardzo niedostateczne, że nauka, którą wnieśli ze szkół średnich, czy nawet niższych, nie daje im podstaw do samodzielnego myślenia. Ten sam zresztą los czeka, wcześniej czy później, inspektorów urzędów rolnych, jeśli nie będą się stale odświeżać u źródeł nauki. Wprawdzie inspektorzy w porównaniu do opiekunów wyjdą więcej obronną ręką, nie tylko dlatego, że są umysłowo więcej wyrobieni, a przede wszystkim, że szersze pole ich działalności otwiera stale przed nimi szersze horyzonty.

W krajach anglo-saskich, w Anglii i Ameryce, akademickie uczelnie rolnicze są początkiem i ośrodkiem oświaty pozaszkolnej. Opieka naukowa nad doradcami rolniczymi spoczywa w ręku

profesorów. To też z samego układu stosunków wynika, że wciąż świeże prądy nauki przenikają przez doradców rolniczych do organizmu gospodarczego wsi anglo-saskiej. I jest to stały dopływ, niezależny od przypadkowych konjunktur na terenie zainteresowań osobistych. Jest to stała praca, jak każda praca szkolna. U nas byłoby niewłaściwą rzeczą, a przynajmniej byłoby zawczasie przekreślać dotychczasowe metody oddziaływania na wieś polską przez odebranie instytucjom społecznym dotychczasowej organizacji, a powierzenie całej akcji uczelniom. Nie należy niszczyć tego, co stworzyły lata pracy, co pięknie się rozrasta i daje obfite owoce w stosunku do środków rozporządzalnych. Pożądanym jest przeto pośredni kierunek.

Niech instytucje społeczne mają, jak dotąd, swe instruktoraty. Niech więc zawiadywanie częścią organizacyjną spoczywa w ręku Towarzystw czy Izb Rolniczych, ale opiekunowie, czy doradcy, powinni stale i systematycznie w przepisanych odstępach czasu przesłuchiwać kursy, urządzone przez uczelnie wyższe. Do wykładania, ćwiczeń, seminarjów powołani są profesorowie, ale można i należy wprzęgać do tej pracy dydaktycznej, także postronnych ludzi, którzy z tytułu swych zajęć są w stałym stosunku bądź z ruchem naukowym, bądź mają sposobność przeprowadzania, a choćby tylko obserwowania praktycznych wyników ścisłych doświadczeń. Oczywiście, między tą kategorią ludzi pierwsze miejsce należy do inspektorów urzędów rolnych, którzy tu mają sposobność masowo zapładniać umysły swych pomocników. Udział profesorów jest niezbędny dla podtrzymania poziomu. Choć profesorowie będą mówili językiem łatwo zrozumiałym dla mało przygotowanego ogółu, nie mogą zapominać o syntetycznym ujmowaniu zagadnień. Nie tyle bowiem chodzi o to, aby kursy nauczyły nowych faktów z dziedziny nauki, choć i to bezwątpienia ma duże zna-

czenie, ale aby podniosły sposób rozpatrywania każdego zagadnienia z osobna i w całości życia rolniczego. Przecież opiekunowie, czy instruktorzy nie mogą być ślepymi wykonawcami, ale muszą być w znacznej mierze samodzielnymi przewodnikami miljonowej rzeszy gospodarzy.

Związek inspektorów z nauką musi być inny, a mianowicie nieprzerywany. Dla nich nie wystarczają kursy odświeżające myśl. Inspektor musi żyć cały rok w wysokim napięciu umysłu. Nic nie może uchodzić jego uwagi, co się dzieje w świecie nauki. Więc oczywiście potrzebna mu jest bogata biblioteka, a poza biblioteką osobista styczność z instytucjami badawczymi, z uczelniami akademickimi, ze stacjami doświadczalnymi. Przecież zadaniem inspektora urzędów rolnych jest przetwarzanie postępu naukowego na postęp praktyki rolniczej i sprawdzanie wyników w wielkim laboratorium tysięcy gospodarstw oddanych pod jego kierunek.

Poza bezpośrednim oddziaływaniem na zespół pracowników zajętych w oświacie pozaszkolnej — szkoły rolnicze akademickie powinny brać żywy udział w opracowywaniu metod szerzenia oświaty. W ten sposób zostałby otwarty dopływ nauki do strzech włościańskich. Szerokość tego dopływu zależeć zawsze będzie od środków finansowych, od liczebności opiekunów i od dobrej woli ze strony posiadaczy poddawania się opiece. Znajdzie się w każdej dzielnicy wielu gospodarzy, którzy rozumieją korzyść stałej styczności ze znawcami rolnymi, trudno jednak liczyć na miliony chętnych i gotowych. Każda rutyna jest zaśniedziała, a szczególnie chłopska, i trzeba wiele czasu, ażeby była porzucona. Tak samo nie łatwo znaleźć zastępy zupełnie nowego typu instruktorów-doradców, trzeba ich dopiero kształcić, a tymczasem wybierać nieliczne osobniki, jako tako przygotowane do trudnego zawodu. Wreszcie do uruchomienia mechanizmu, któryby objął miljo-

ny gospodarstw, potrzeba bardzo wiele środków pieniężnych, o które trudno każdej instytucji. Więc na razie nie można liczyć na duży i szybki wzrost systemu stałej opieki.

Centr. Tow. Roln., które jest inicjatorem systemu stałych opiek, patrzy na nie jako na sposób oddziaływania na najlepsze jednostki z pośród gospodarzy danego okręgu. Żywy przykład ma pociągnąć innych na drogę postępu. Trudno zaprzeczyć, że Centr. Tow. Roln. rozumnie dostosowuje działalność do swych zasobów i ram organizacji. Należałoby współpracować w tym kierunku, ażeby po całym Państwie jak największa ilość gospodarzy poddała się stałym opiekom, ażeby w ten sposób tworzyło się jak najwięcej wzorowych gospodarstw, ale nie należy zamykać oczu na fakt, że się w ten wyłączny sposób nie wyrwie mas z zastarzałej rutyny. Przekonujemy się o tem na przykładach gospodarstw folwarcznych. Są gospodarstwa prowadzone wzorowo, a obok nich zaniedbane. Postęp przechodzi przez miedze sąsiedzkie nieraz trudniej niż wielbłąd przez ucho igielne. Więc nie można zanadto polegać na wpływie wzorowych gospodarstw, lecz trzeba bezpośrednio docierać do ciemnych mas, budzić je i powoływać do nowych metod pracy.

Na szeroko pojętą akcję potrzeba wiele środków i sił fachowych. Prócz opiekunów-organizatorów niezbędni są jeszcze specjaliści, którzy będą dawali włościanom w wielu wypadkach pomoc techniczną. Gospodarowanie nie jest wyłącznie procesem ekonomiczno-społecznym. Właściwie ten proces ekonomiczno-społeczny jest duchem ożywiającym mechanizm pracy, na którą się składają zabiegi natury technicznej. Nie wolno zapominać o tych zabiegach. Każdy opiekun, czy instruktor miejscowy, musi dbać o doskonałą uprawę roślin, o hodowlę, o pracę domową, jednym słowem o całość zajęć, ale nie można wymagać, ażeby każdy z nich był specjalistą we wszyst-

kich gałęziach i odłamach pracy na wsi. Takiej umiejętności nie będzie posiadał nawet inspektor urzędzeń rolnych, stojący na czele opiekunów.

Chcąc poprowadzić gospodarkę włościańską z wielkim zjawstwem, trzeba ułatwić do niej dostęp ludziom wyspecjalizowanym w różnych gałęziach techniki rolniczej. Niech jedni będą hodowcami bydła, inni świń, inni znów drobiu, owiec, a także potrzeba specjalistów w sadownictwie, warzywnictwie, pszczelnictwie, chmielarstwie, wikliniarstwie, budownictwie, tkactwie i innym przemyśle domowym, potrzeba znawców melioracji rolnych, uprawy łąk i torfowisk, budowy dróg. Specjaliści, jak się to już dzieje, pouczają gospodarzy, najpierw za pomocą pogadarek wspólnych, urządzanych we wsi na miejscu, a potem przez bezpośrednią styczność z każdym posiadaczem, któremu dają wskazówki zastosowane do jego warunków i potrzeb.

Ta bezpośrednia styczność wielu ludzi fachowych z osobą posiadacza rolnego jest bardzo charakterystyczną stroną znanego systemu, według którego wiedza ze swych źródeł nie płynie wyłącznie jednym strumieniem z głowy kierowniczej, w tym wypadku od inspektora urzędzeń rolnych, a potem przez siłę pomocniczą opiekuna (system hierarchiczny), ale dąży wielu drogami przez ludzi od siebie niezależnych, ale zgranych metodami pracy (system funkcyjny). System funkcyjny został oddawna wypróbowany z powodzeniem w szkolnictwie, a w nowszych czasach w różnych gałęziach przemysłu. Zamiast jednego majstra, dozoruującego maszynę, i robotników pracujących przy maszynie, spełnia swe funkcje paru majstrów, każdy w swej ciasnej specjalności, przez co praca ich zyskuje na fachowości, a robotnicy mający do czynienia równocześnie z paru znawcami są silnie pobudzani do wydobywania z siebie maksimum wysiłku. Gdyby jeden instruktor uczył gospodarzy wszystkiej mądrości, wyczerpałby

szybko zapas swej wiedzy, energii i umiejętności zainteresowania słuchaczy, co już jest u nas w wielu stronach kraju pospolitym objawem. Gdy ktoś nowy przyjedzie ze świata na dwa, trzy dni, łatwiej pobudzi gromadę do nowej energii myśli i czynu. Więc oprócz potrzeby rozwoju pewnych specjalności na wsi, do czego mogą być powołani tylko specjaliści, także strona dydaktyczna przemawia za systemem funkcyjnym.

Specjalizacja w zawodzie instruktorskim jest przez C. T. R. poważnie zapoczątkowana. Na okręgach pracuje już 15-tu instruktorów hodowlanych, 12-tu instruktorów ogrodniczych, kilkanaście instruktorek gospodarstwa kobiecego, oraz około 20-tu asystentów kontroli obór, zwanych żywicielami. Żywiciele są doradcami w zakresie żywienia, odwiedzają stale gospodarstwa, korzystające z usług mleczarni spółdzielczych. Wogóle specjaliści mają za zadanie nie tylko udzielanie wiadomości i wskazówek, lecz także organizowanie w gospodarstwach poszczególnych działów produkcji. Jak więc widzimy, instytucje społeczne ze swym aparatem instruktorów nadają się doskonale do szerzenia oświaty rolniczej pozaszkolnej. Mogą wnieść do pracy na wsi dość dużo fachowości, zainteresowania postępem i ożywienia, ale, rozumie się, nie mogą zastąpić nauki szkolnej, która daje więcej systematyczne podstawy do późniejszego rozwoju.

Kto chce ruszyć z martwych posad bryłę ludu, musi poważnie pomyśleć o powszechnym szkolnictwie rolniczym. Nasze niższe szkoły rolnicze są tak mało liczne, że o szerokim oddziaływaniu niema mowy, a przytem wpływ ich nie daje się zauważyć. Przeciż inż. Chmielecki w rozpatrywanej tu pracy przytacza, że na 812 uczestników konkursu było tylko 26, którzy ukończyli szkołę rolniczą, a wyróżniło się z nich zaledwie siedmiu!

Łatwo wytłumaczyć przyczynę małego wpływu szkoły rolniczej. Roczny kurs szkolny nie

starczy na całe życie. Jeśli się poniecha oddziaływania pozaszkolnego, to w ciągu długich lat spędzonych przez gospodarza przy pługu, bronie lub z widłami w rękę, myśli wszczepione młodzieńcowi w szkole ulegną spróchnieniu, a zwycięży odwieczna rutyna. Trzeba wciąż odświeżać umysł pracującego fizycznie rolnika, trzeba wciąż dostarczać nowego pokarmu jego myślom.

Prof. Władysław Grabski w swej głęboko przemyślanej pracy *) dochodzi do wniosku, że celem przeprowadzenia skutecznej „walki o wydajność pracy wsi polskiej“ należy złączyć szkolnictwo rolnicze z szkolnictwem powszechnem. Według projektu profesora specjalnie powołani nauczyciele rolnictwa wykładaliby na kursach dokształcających dla dorastającej młodzieży wiejskiej w ciągu czterech miesięcy zimowych. Wystarczyłoby tych nauczycieli w przecięciu ośmiu na powiat, mniej więcej ok. 2,000 sił wykwalifikowanych na Państwo Polskie. Nie jest to liczba przerażająca pod względem obciążenia skarbu i samorządów. Wszak mamy dziś około 24 tysięcy szkół powszechnych z 44 tysiącami nauczycieli. Więc choćby tych nauczycieli rolnictwa, jako siły wysoce wykwalifikowane, wynagrodzić parokrotnie razy wyżej niż nauczycieli ogólnej szkoły powszechnej, koszt utrzymania wszystkich razem wzrósłby zaledwie o kilkanaście procent, co opłaciłoby się sownie wobec podniesienia poziomu rolnictwa wśród masy gospodarstw drobnych.

Prof. Grabski projektuje włożyć na każdego z ośmiu nauczycieli w powiecie obowiązek nadzoru, kontroli i kierunku dla 15 ośrodków kultury rolniczej, toby wypadło na powiat 120 ośrodków,

*) „Reforma agronomji społecznej“ Warszawa 1928 r.

a na całe Państwo około 30 tysięcy, a więc jedno gospodarstwo wzorowe na sto gospodarstw drobnych. W każdym takim ośrodku nauczyciel-doradca mógłby w ciągu każdego z ośmiu miesięcy sezonu roboczego spędzić jeden lub dwa dni na miejscu dla wykonywania nadzoru i nadawania kierunku pracy w ośrodku, a równocześnie dla udzielania porad i wskazówek wszystkim chętniejszym gospodarzom z pośród setki, na którą dany ośrodek ma oddziaływać.

Łączność między nauczycielami-doradcami a rolnikami będzie ułatwiona, kiedy ziemię obejmą zastępy młodzieży, która już przeszła dokształcający kurs rolnictwa. Tak się to dzieje w Stanach Zjedn. Ameryki Północnej. Istnieje tam nieomal stała styczność między nauczycielem szkoły rolniczej a byłymi jego uczniami. Nauczyciel odwiedza swych uczniów w ich siedzibach, oni zaś nadsyłają mu sprawozdania z przebiegu swej pracy. Tym sposobem szkoła nie da zasypiać rolnikom, lecz budzi ich wciąż nowymi zagadnieniami.

Stosunki rolnicze kształtują się w Ameryce korzystniej dla utrzymania stałej łączności między rolnikami a nauczycielem rolnictwa. Łatwe środki komunikacyjne sprzyjają przenoszeniu się nauczyciela z miejsca na miejsce. Powtórę produkcja rolnicza w Ameryce jest zschematyzowana. Rozległe okręgi są zajęte bądź uprawą pszenicy, bądź kukurydzy, to znów poświęcane chowowi zwierząt, co niezmiernie ułatwia wyspecjalizowanie farmerów i utrzymanie ich gospodarstw na poziomie nowoczesnej kultury. U nas wielka różnorodność produkcji w gospodarstwach włościańskich wymaga daleko szerszego przygotowania fachowego ze strony doradców i poświęcenia daleko więcej czasu na każdą jednostkę gospodarczą.

Mimo tych różnic na niekorzyść naszych stosunków w rolnictwie, istniejące obecnie u nas

szkoły rolnicze powinny w miarę swych sił i możliwości promieniować poza krąg swych zajęć szkolnych. Nie należy ich zwalniać z tego naturalnego obowiązku. Tem mocniej ten obowiązek będzie ciążył na nauczycielach, kiedy się ziści projekt prof. Grabskiego. Jednak jeszcze długie lata poważne pole pracy nad oświatą rolniczą pozaszkolną wśród włościan pozostanie w ręku instytucji społecznych, a zwłaszcza ich specjalnych wydziałów, czy sekcji przeznaczonych do tego rodzaju poczynań. W ostatnich czasach duża część zasługi przypada Sekcji Organ. Gosp. Wiejsk. C. T. R. i jej kierownikowi, autorowi „Urządzeń Gospodarstw Małych”, inż. Wojciechowi Chmieleckiemu, jako kierownikowi Sekcji Organ. Gospodarstw Drobnych i jako redaktorowi „Gazety Gospodarskiej”, która się cieszy w Polsce niebywałą poczytnością i dlatego, rzec można, niesie oświatę rolniczą masom ludu wiejskiego.

W tym zespole pracowników różnego typu i przeznaczenia, w zespole różnych instytucji społecznych, szkół rolniczych ludowych, w tych rozlicznych wysiłkach, płynących z wielu stron, znajduje się jeszcze dość miejsca dla pracy ziemian nad oświatą rolniczą ich młodszej braci. Im bowiem z różnorodniejszych źródeł spływa umiejętność fachowa w móżgi i w żyły wytwórców, tem pełniejsze jej tężno. Zakres udziału ziemian, względnie inteligencji wiejskiej jest już poniekąd wskazany konstrukcją zbudowaną z naszych własnych powyższych rozważań. Nim jednak wypowie się zupełnie zdecydowanie w tej sprawie palącej po wszystkie polskie czasy, przeniesiemy się myślą do gorących artykułów redaktora, dr. Jana Lutostawskiego i do polemiki, toczonej dzięki niemu nieraz dawniej i znów obecnie na łamach „Gazety Rolniczej” na temat: czy instruktorzy w Kółkach rolniczych, czy ziemianie? Duchowi mej pracy najlepiej odpowiada głos Stefana Jan-

kowskiego, tego samego, który opracowywał pierwszy większy konkurs gospodarski wśród włościan przed wojną. Pozwolę sobie przeto przypomnieć kilka ustępów z jego artykułu p. t. „Rola instruktorów” („Gaz. Roln.” Nr. 1—2 r. 1928). „Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę” pisze autor, „że dzisiejsze metody pracy, nazwijmy ją instruktorską, są zgoła inne, że nie chodzi tylko o wygłaszanie pogadank na miesięcznych zebraniach Kółka Rolniczego, ale o pracę stałą, codzienną, bezpośrednią w grupie członków, o pomoc techniczną nawet w szczegółach, wypływającą jednak z szerszej myśli organizacyjnej, to dojdziemy do przekonania, że spełnianie obowiązków instruktorskich przez prezesów Kółek, przez inteligencję wiejską (do której należą przecież nietylko rolnicy, ale księża, nauczyciele i t. d.), jest dziś niewykonalne. Tylko ludzie o pełnych kwalifikacjach naukowych (ogólnych i zawodowych), posiadający dar popularyzatorski i szersze umiłowanie swej pracy, dostatecznie wynagradzani, a więc mogący ze spokojną głową oddać się swoim obowiązkom, dokładnie zapoznać się z terenem i wyspecjalizować się w swym zawodzie instruktorskim, podołają dzisiejszym wymaganiom krzewienia postępu rolniczego w drobnych gospodarstwach”. „Oczywiście nad przelotnymi instruktorami, pisze dalej p. Stefan Jankowski, ziemianie mają tę wyższość, iż lepiej znają warunki miejscowe i pozostają w stałej styczności (to, co prawda, nie zawsze jest atutem) z rolnikami swego okręgu. Ale o to chodzi właśnie, aby instruktorzy mogli pracować w jednym miejscu dłużej, a nie przelotnie. W razie zaś nieuniknionych zmian, związek pomiędzy pracą jednego a drugiego instruktora utrzymać może zarząd (prezes) Tow. Okręgowego. Zapewnienie ciągłości pracy instruktora przez nadawanie jej stałego kierunku, a nie dorwacza z natury rzeczy praca instruktorska — oto zadanie miejscowej inteligencji rolniczej”.

Znów w innym miejscu: „Abstynencja inteligencji rolniczej może doprowadzić do zaniku tych zrzeszeń, jako instytucji społecznych, czyniących z nich biura i urzędy. Ale to grozi nie wskutek wyręczania się wykonawcami, lecz w razie pozostawienia ich bez dyrektywy ze strony miejscowego czynnika społecznego, którego wyrazicielem jest w danym razie zarząd (prezes) Tow. Okręg. Instruktor okręgowy, nie pozostający w styczności z miejscowymi działaczami rolniczymi, ale skazany wyłącznie na czerpanie wskazówek od funkcjonariuszów wyższego rzędu (z centrali dzielnicowej, czy wojewódzkiej) może w istocie upodobnić się do swego przypuszczalnego pierwowzoru: „ziemskiego agronoma”.

Pisząc się na poglądy Stefana Jankowskiego, uważam wraz z nim, że całkowite zastąpienie instruktora patronatem ziemian jest niepożądane w dzisiejszych twardych, zawitych warunkach pracy na roli, gdzie tylko ściśle naukowa, t. j. na liczbowej analizie oparta organizacja warsztatów może zapewnić powodzenie gospodarstwu wiejskim. Wypracowywanie programów technicznych i organizacyjnych musi należeć do uczelni akademickich, do kierowników urzędów rolnych, za którymi stoją wydziały organizacji, związki zrzeszeń spółdzielczych, biura techniczne, posługujące się w każdym przypadku wiedzą uniwersyteckich zakładów naukowych i wynikami stacji doświadczalnych. Instruktorowie muszą schodzić na grunt, a nietylko odbywać pogadanki z za stołu prezydjalnego, muszą poznać i zajmować się szczegółami pojedynczych gospodarstw, urządzać pokazy nieraz własnoręcznie. Ani stać ziemian na tak intensywną i fachową pracę, zarówno z powodu ich zajęć na własnych warsztatach, jak i dość często z powodu niedostatecznego przygotowania. Ale zato mogą i powinni ziemianie pomagać instruktorom w rozwijaniu tematów rolniczych na

zebraniach Kótek, w budzeniu włościan do żywego życia umysłowego i w zainteresowaniu ich postępowaniem rolniczym. W stosunku do samych instruktorów ziemianie winni zachować rolę kontrolerów ich działalności. Instruktorzy chętnie porzucą pracę biurową, bo to najmniejszy trud w ich zawodzie i wymaga najmniej wiedzy fachowej. Trzeba ich zainteresować robotą, wciągać do niej, niejednego mniej doświadczonego pouczyć. A choćby instruktor był jak najlepiej przygotowany fachowo i społecznie, choćby okazywał jak najlepsze chęci, to jednak współpraca miejscowych ziemian jest niezmiernie pożądana ze względu na znajomość terenu glebowego, warunków gospodarczych i zwyczajów miejscowych. Instruktorzy zmieniają się raz po raz. Utrzymanie ciągłości pracy, jak słusznie zaznacza Stefan Jankowski, jest zadaniem ziemian, skupionych w Towarzystwach Okręgowych. Przyczem tempo organizowania życia rolniczego przez spółdzielnie, ożywianie ruchu umysłowego przez czasopisma i wypożyczanie książek zależy w dużej mierze od udziału całej inteligencji wiejskiej (ziemian, księży, nauczycieli ludowych).

Gdzie brakuje instruktora płatnego, tam z konieczności spada całkowicie na ziemian obowiązek niesienia oświaty rolniczej pozaszkolnej. Mogą się ziemianie wywiązać z zadania łatwo, jeśli zwrócą uwagę na wybitniejsze jednostki z pośród włościan.

Spotyka się bowiem w masach ludu niezwykle zdolnych ludzi, którzy przyswajają sobie naukę rolniczą z wielką szybkością, a nabyte wiadomości potrafią znakomicie zużytkować. Otóż zadaniem ziemian, a również instruktorów, jest wyłaniać te cenne osobniki, urabiać je, a potem wolać do współpracy. Będą to wyborowi pomocnicy. Wpływ tych światłych gospodarzy na całą gromadę oddziaływał w dwóch kierunkach, raz przez przykład

ich postępowych gospodarstw, o czym już pisaliśmy, powtórze przez ich żywe słowo. Niejeden gospodarz, który posiada wiele umiejętności, chowa swą wiedzę przed sąsiadami, nie śmie, nie umie wystąpić. Trzeba go zachęcić, pobudzić, dać mu przodownictwo między swymi. Wtedy jego żywe słowo i przykład wszczepią mikroby postępu w odporne umysły. Ten sposób wyszukiwania najdzielniejszych jednostek i opierania na nich akcji oświatowej należy do najłatwiejszych.

Oczywiście, w pracy nad wytworzeniem pełniejszego życia rolniczego na wsi nie można spychać całego ciężaru na prezesa Tow. Okręgowych, jak to się u nas zwykle dzieje. Prezes z urzędu swego nie powinien brać się do wykonywania szczegółów. Jego zadaniem jest nakreślenie programu pracy, rozdanie jej terenowo między ziemian danego okręgu i dopilnowanie, czy zadania są należycie spełniane. Przy takim podziale pracy rejonowy może być nieduży, jeśli tylko w każdym okręgu kilku ziemian podejmie się roboty. Idzie przecież o to, aby uintensywnić pracę, aby w ten sposób w rozwoju gospodarstw włościańskich ukuć znów dalsze ogniwo połączenia jak największej ilości sił umysłowych z twardą pracą rąk.

Mimo rozłożenia ciężaru na barki wielu, nie mały spadnie trud na każdego ziemianina, który w ten sposób pojmie swe obowiązki. Co go jednak zniewolni do ofiarności?

Jakie stąd korzyści odniosą ziemianie, prócz miłego sercu spełnienia obowiązku?

Mojem zdaniem, własny, dobrze pojęty interes powinien przeć ziemian do pracy oświatowo-rolniczej. Spadną na nich stąd wielorakie korzyści natury materialnej i dalsze społeczno-narodowej. Jeden z pożytków już się uwidacznia. Dzięki postępowi rolniczemu wśród włościan wzrósł popyt na rasowe stadniki, których ceny znacznie się

podniosły. Wzrasta też pokaźnie zapotrzebowanie na doborowe nasiona. Z jednego i drugiego źródła własność wielka ciągnie niemałe zyski. Jej bowiem naturalnem przeznaczeniem jest wytwarzanie materiału hodowlanego i nasiennego. Przed wojną zdobywaliśmy rynki Wschodu dla zbytu sztuk zarodowych. Po wojnie czekamy, aż się te rynki znów otworzą. Na co czekać? Mamy u siebie niewyczerpany rynek, byle podnieść oświatę rolniczą wśród włościan.

Nasuwa się wniosek, że wiele majątków ziemskich dopiero wówczas stanie na pewnych podstawach, gdy poziom kultury własności małej dosięgnie odpowiedniej normy. Wówczas bowiem majątki, dostarczając rozplodników i nasion gospodarstwom drobnym, będą miały zapewnioną należytą opłacalność, a zarazem spełnią swe zadanie— ognisk kultury rolniczej.

Drugi bezpośredni pożytek dla ziemian z pracy nad oświatą rolniczą wśród włościan, to wytworzenie wspólnego frontu rolniczego. Tylko wspólnymi siłami, wielcy i mali rolnicy, możemy stworzyć pomyślne warunki dla rozwoju warsztatów rolnych. Ziemianie dobrze to rozumieją, że sami nie zmieniają układu stosunków w Państwie Polskiem na korzyść rolnictwa, że na to potrzeba udziału mas, ale łudzą się, że zrozumienie mas przyjdzie samo. Nie! Zrozumienie nie przyjdzie samo. Trzeba go wypracować, i to nie piórem po pismach nieczytywanych przez masy, ale własnym potem w ciężkiej pracy na wsi. Trzeba wyjść ze dworów do zagród, i to nie raz na pięć lat, podczas wyborów do sejmu, ale w każdej materialnej i kulturalnej potrzebie chłopa - sąsiada.

A dalsze korzyści więcej idealne. Píše o nich tak dobitnie prof. ekonomji polit., Władysław Grabski, we wspomnianej pracy w nast. słowach: „Postęp istotny i poważny produkcji drobnej własności, to zagadnienie bytu Polski. Polska nie mo-

że się rozwijać zbyt małym tempem. Jeśli postęp wśród drobnych rolników będzie wolniejszy, niż proces parcelacji z jednej strony, niż przyrost ludności z drugiej, i wreszcie będzie wolniejszy, niż tenże postęp w krajach ościennych, to Polska będzie się cofała, jako kraj cały i staczać się będzie do tak niskiego rzędu wśród społeczeństw współczesnych, że swojej niezależności państwowej nie zdoła utrzymać”.

Gdyby jednak Polska mimo swej niskiej wytwórczości nie przestała istnieć, jako państwo niezależne, dzięki współzawodnictwu mocarstw, to spauperyzowane rzesze ludności wiejskiej rozdrapia większą własność do szczątków. Będzie to nieunikniony skutek dzisiejszej obojętności na rozwój gospodarczy wsi. Jeśli ziemianie chcą się oprzeć fali dziejowej, muszą zapuścić mocne korzenie w duchowych podstawach ludu wiejskiego.

Nim zamknę książkę inż. Chmieleckiego, przebiegam ją raz jeszcze myślą. Istotnie, jest to bardzo dobra praca. Nie jest jej ujemną stroną, jeśli nie dopowiedziała wszystkiego. Jest bowiem rzeczą zbędną pisać prace programowe na wzór podręczników. Książka zasługuje zupełnie na miano dobrej, jeśli odpowiednio nastawi umysł czytelnika i pobudzi go do myślenia. Praca tu omawiana spełnia swe zadanie najzupełniej. Poza tem udatnie obrazuje życie gospodarskie włościanina polskiego w jednej z dzielnic. To też powinna się znaleźć w ręku wszystkich, którym na sercu leży potężny rozwój włościaństwa w Polsce.

Niech tę książkę czytają ci, którzy znają włościan z za zielonego stolika, bo dla nich otwory się ziemia całkiem nieznana. Niech ją czytają właściciele ziemscy, bo i dla nich książka ta będzie przewodnikiem po gospodarstwie małorol-

nem, a ponadto będzie ich pobudzać do działalności społecznej. Niech ją czytają przede wszystkim włościanie od brzegu do brzegu. Znajdą w niej na każdej stronie cenne uwagi dla swej codziennej praktyki. Niech się uczą słów Chmieleckiego na pamięć i niech je powtarzają podczas długich wieczorów zimowych, jak dziesięcioro przykazań gospodarskich.

BIBLIOTEKA PAŃSTWA POLSKIEGO
BIBLIOTEKA
w Białymstoku

2387